KWIECIEŃ 1930

DZIŚ i jutro

Nr. XII

R. VIII

WESOŁEGO ALLELUJA

Z okazji tych najdonioślejszych katolickich świąt

ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO

przesyła Redakcja kochanym swym Współpracownikom i Czytelnikom najserdeczniejsze życzenia

DO ZWIĄZKU „I“

Zdobyłam się na odwagę i piszę do waszego związku. Związek ten zainteresował mię bardzo od samego początku. Pilnie śledziłam każdy numer »Dziś i Jutra«, szukając czy niema jakichkolwiek wiadomości od was lub do was. Spoczątku wszystko szło bardzo ładnie, mniej więcej orjentowałam się o co chodzi, co macie na celu i t. d., ale potem, gdy coraz więcej nad tem myślałam, zaczęłam się plątać. I dzisiaj już wogóle nie wiem nic. Poco właściwie Związek »I« założył swój kącik na łamach naszego pisma? Pozatem zdaje mi się, że nietylko ja nie rozumiem waszego związku. Były już głosy, które zwracały się wprost do was, a także i pomiędzy memi koleżankami, a czytelniczkami naszego pisma jest bardzo wiele... nieorjentujących się w tych sprawach.

Więc bardzo, bardzo prosimy nas poinformować. Bo tak, to jest strasznie męczące oczekiwać każdego Nr. »Dziś i Jutra«, żeby się coś dowiedzieć, a gdy przyjdzie numer znów, niema nic, nic nie wiemy! i czekamy dalej. Teraz będziemy oczekiwać odpowiedzi.

B. T. gim. 523.

SZANOWNA PANI REDAKTORKO!

Od lat dwunastu polska młodzież czerwonokrzyska obchodzi w maju drogą dla wszystkich uroczystość »Dzień Matki«. Jest to dzień, w którym tysiączne rzesze młodzieży składają publiczny hołd wszystkim Matkom.

Dzień ten — to imieniny wszystkich Matek i tych z poddasza czy suteryn, jak i z salonów i pałaców.

W roku bieżącym uroczystość »Dnia Matki« będzie obchodzona w całej Polsce **w niedzielę, 24 maja**.

Celem szerszego spopularyzowania tak pięknej uroczystości, zwracamy się do WP. Redaktorki z serdeczną prośbą o łaskawe zamieszczenie w Ich poczytnem piśmie odpowiednich artykułów wzgl. materjałów pomocniczych do obchodu »Dnia Matki«. Jest to dla nas tem ważniejsze, iż literatura dotycząca obchodu »Dnia Matki« jest dotąd nieliczna.

Dla lepszego zorjentowania się w charakterze tej uroczystości, pozwalamy sobie przesłać przy niniejszem 2 egz. Biuletynu, poświęcone »Dniu Matki«. Prosimy ewentualnie o wykorzystanie ich treści w piśmie WP. Redaktorki.

Ufamy, że WP. Redaktorka przyczyni się do uświetnienia i spopularyzowania »Dnia Matki«, uroczystości, która w dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach przedstawia szczególne znaczenie wychowawcze i społeczne.

Uprzejmie prosimy okazowe egzemplarze przesłać pod naszym adresem.

Łączymy wyraz szacunku i poważania

Kierownik Referatu
Kół Młodz. PCK. Okr. Warsz.
Tadeusz Mickiewicz

Prezes Komisji:
Anna Rostworowska

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY.

Rok XII. KRAKÓW Kwiecień 1936. Nr. 8.

SURREXIT.



KARPOWICZA SALON WARSZAWSKI

Słabemi są ramiona i dusze niewiast, które w drodze do grobu Chrystusowego pytają się, kto im odwali kamień, »bo jest bardzo wielki«. Myślą w tej chwili tylko o sile fizycznej, zapominając o tem, że w grobie spoczął Logos, który jest podstawą ładu w kosmosie i w dziedzinie ducha. Widziały tylko Golgotę, a nie widziały Zmartwychwstania, więc w dusze ich spłynęła słabość, szepcąc im jak pokusa sceptyczne: »skończyło się, ze śmiercią wszystko się skończyło«. Niebawem zobaczą jednak Zmartwychwstanie i zmieni się wszystko.

Tajemnica Zmartwychwstania stanie się na zawsze źródłem siły dla tych, którzy po chrześcijańsku przeżywają tajemnicę Krzyża. Nikt nie zaprzeczy, że Krzyż i Zmartwychwstanie wchodzą na pierwszem miejscu w sferę życia religijnego, wskazując na fakt powtórnego zamieszkania Boga w ludzkiej duszy przez różne stopnie łaski aż do mistycznego zjednoczenia.

Czar Zmartwychwstania rozpoczyna się od pracy ofiarnej aż do zranienia dłoni, aż do ciernia myśli w skroniach, jak u Zmartwychwstałego.

Do wad głównych zalicza nasz katechizm postawę ducha, którą średniowiecze piętnuje jako acedia, czyli gnuśny smutek. Acedia była dla średniowiecza epidemją duchową, która idzie z duszy w duszę, ogarniając sobą poszczególne warstwy społeczne, miasta i całe kraje.

Po Zmartwychwstaniu przedstawicielom myśli chrześcijańskiej nie wolno się pytać, kto im odwalił kamień z drogi życia. Odwalą go i odwalić muszą sami w imię tych ideałów, które wzięli w serce jako gwiazdy przewodnie w codziennym trudzie.

Ks. Konstanty Michalski.



KARPOWICZA SALON WARSZAWSKI

OGRODNIK JASNOWŁOSY.

... I przyszedł do mnie Pan mój,
Ogrodnik jasnowłosy

L. Staff.

Nie myślcie, że umarł tylko na Krzyżu: umiera codziennie od trucizny zła. Nie myślcie, że raz tylko wstał z grobu: to samo czyni ciągle w sercach sprawiedliwych.

I nietylko w dalekiem mieście Jeruzalem szukajcie Go, ale wszędzie: w kościołach miast, w kościołach zapadłych wsi i tam, gdzie się pleni jakiekolwiek życie. Z groty udanej po wiejsku: szary papier naśladuje skałę, u skraju śmiertelnego posłania zieleni się jarko grządka jęczmienia i płoną światełka w oliwie — »wstał i niemasz Go tu«.

Była bowiem godzina, kiedy aniołowie odwalają kamienie.

Dobrze przenikać powietrze świtu ni to błyskiem, ni to cieniem, pamięć cierpienia już mając za sobą, jak okrutny wczorajszy sen.

Przedranny wiatr rozdmuchuje włosy długie, jasne; nad głową pędzą, ścigają się obłoki, jak owce, wracające z nocnego pastwiska; gwiazdy bledną, strudzone czuwaniem. Po drogach krzyże prostują się z ulgą: »Lekko nam bez umęczonego Ciała«. Natrafia się wieś, gdzie koguty pieją, ale ludzie śpią i żórawie przy studniach nie piją jeszcze wody.

Dookoła trwa ta sama drzemota, przeniknięta pierwszym dreszczem ocknienia, dreszczem, że się coś zaczyna, coś wstaje.

Ludzie postni, skruszeni, uginający się pod ciężarem lat czy trosk — czekają święta. Młodzież w gorących izbach majacząc, widzi drogę pociętą językami płomienia, lecz raptem czuje świeżość nieba, które się po burzy otworzyło między chmurami i woń kwietniowych drzew — to Jezus przychodzi pod oknami. A może tylko gałąź wierzby huśta się ponad ścieżką, a może tylko obłok ucieka przed porankiem. Tak się rodzi legenda, jej kołyska tkwi na granicy nocy i dnia, ale potem wyrasta mocny pień z nikłego ziarnka.

Tymczasem wciąż daleko do wschodu słońca, świat leży szary i niebieski, pełen snu, pełen tajemnego ruchu, jak kiedy budzą się mgły.

Z leszczyn opada miałki, złocisty pył. Brodząc w nieśmiałej trawie, brzozy, które, gdy lada podmuch zawieje, łamią ręce i targają płaczące włosy — teraz dumają ciche i skupione. Na płowiejącem niebie dzikie czereśnie nastroszyły się od wezbranych, od spragnionych pęków.

Zamiast skowronków, — dla nich jeszcze godzina zawczesna — pod ostrożnemi stopami Ogrodnika dzwonią kwiaty, kluczyki żółte, dźwięczne, wiosenne.

Na skraju lasu rośnie tarnina. Jest osypana zamkniętemi perłami. Gdy Ogrodnik bierze nitkę do ręki, rani Go lekko i mała kropla krwi spływa po skórze. Jezus uśmiecha się smutno: wczoraj wrażała kolce cierniowej korony, a dzisiaj znowu utacza kroplę krwi. Jest zazdrosna o swoją śnieżną urodę i nie wie, co czyni. Więc niby rosą z kropidła — by tę kroplę krwi otrząsnąć — w pierwszych promieniach słońca pokryje się welonem nie białym, lecz różowym.

Zgina gałąź czereśni: kwitnij, już czas. Przykłada usta do ciemno-czerwonej kory, uchem słucha szelestu: budzą się, budzą tysiące małych dusz, zakołyszą się kwitnące rózgi w powietrzu, w wodospadzie słońca.

W Nazareth przed domem cieśli też rosły drzewa, drzewa, które nie czynią nic złego, a dają tylko owoce i chłód cienia. Na zagonach hodowały się skromne rośliny warzywne, karmiące człowieka bulwą, czy liściem, a dzikie zioła wiatr przynosił nieproszone.

Czereśnia pożywi wędrowne ptaki, dziką jabłoń obsiądą leśne pszczoły.

Jakże bezcenną jest rzeczą powrót od wielkich spraw do maleńkich, ubogich duchem. Jak bezgraniczna słodycz życia, która żyje nie zadając bólu, nie umie nienawidzić, a daje bez niczyjego uszczerbku.

Jak bosko powiedzieć: »skończone« i drobną sekundę w ogromie czasu oglądać swoje dzieło. Nie być Bogiem, który spełnia wyroki, ani człowiekiem co cierpi, tylko człowiekiem co patrzy, kocha i żyje.

Niebo już zrobiło się jasne, puste, złota krew jutrzenki podsiąka pod błękit.

Sady się wynurzyły, gaje, zarośla gotowe do rozkwitu.

Ogrodnik je żegna, podnosi ręce z dziękczynieniem za zwycięstwo nad śmiercią.

Z dzwonnicy przy kościele wylatują dzwony, rozbiegają się, wołają: Panie, byłeś w grobie, gdzie jesteś teraz?

— Idę, idę — odpowiada Ogrodnik i kiedy ludzie na klęczkach, w huku dzwonów zanoszą się śpiewem i żarem błagania, kiedy czerwone parafjalne chorągwie wschodzącemu słońcu patrzą w twarz — zamknięty w świetnie złotej Monstrancji, idzie ponad głowami — znowu Pan. *M. Ł.*

REFLEKSY.

Wre tajemniczo otchłań, gdy pochylona
słucham.
Strzępiasta piana czepia się twarzy, hu-
czące morze mam w uchu.
Zatacza się i kołysze niebo pijanym wia-
trem:
męczy mnie zielona otchłań — jej szeptu
muszę słuchać.
To nie jest to, że się staję tem morzem,
całym Bałtykiem,
to nie jest to, że jestem wszystkiem żyją-
cem i — nikim.
Czuję się tak oddzielnie, ale i tak samotnie
i tak, jakby mnie wiatr rozdmuchał, zo-
gromnił i zwielokrotnił.
Odbiegam od dni i rzeczy z chwili obecnej
w przestrzeń,
ten morski szum już znałam, ten sztorm
już kiedyś przeszłam.
Więc pienistego powietrza pod niebem na-
piętem jak balon,
wizja wczesnego dzieciństwa z błękitnych
spływa oddaleń:
Pierwszym dniem moim wybuchły Kiejdany
rudym pożarem,
Wilno błogosławiło w przejeździe Ostrą Bramę
lecz czarnomorskie wiatry do snu mnie
ukołysały,
gdy noc za gwiaździstym czarczafem czu-
wała słodkiemi oczami.
Były dziwy i czary w niewielkim nadmor-
skim domu:
wieczorem po pokojach wiatr chodził naj-
bezczelniej,
do narożnej sypialni wciskał się pokryjomu
i zimną dłonią po twarzach przesuwał
chłodno i wolno.
Płakały dzieci zbudzone w swoich różo-
wych łóżeczkach,
jakby w niejasnem przeczuciu wielkich zda-
rzeń i rzeczy.
Eh, twarzą do tych czasów odwrócić się
nie łatwo;
tyle prawdziwych wspomnień z baśnio-
wym światem się gmatwa.
Więc były dni nasiąknięte słońcem, ska-
łami i morzem,
kwitły słonecznikami na kolorowym ba-
zarze.
Kawony rozcięte, granaty, banany i po-
marańcze,
wiatr leciał po ulicach i po bulwarach
tańczył.
I pewnie poraz pierwszy słyszałam harfy
polskie,
tam, w złotym piasku nadbrzeżnym i w
słońcu Sebastopolskiem.

2.

Powiało z gniewnego morza burzą zgar-
bioną w fałach,
fioletem rozkwitły chmury, gdy piorun
się w nich przepalił.
Historja tętniąca śpiżowo armatnich kół
huraganem,
przeszła po drodze dzieciństwa, krwią, re-
wolucją — Ojczyzną.
I oto dziś w same oczy, gdy włosy wia-
trem rozwiane,
słoną i cierpką pianą Bałtyk zwycięsko
bryznął.
Wróciło jaskrawem wspomnieniem w gro-
zie przebyte: Wczoraj,
które wykołysało nie moje — cudze morze.
Dziś: jest zbiorowym trudem: — w stocz-
niach pracują motory,
dźwigamy młodości Ojczyźnie oddechem
w ruchome przeproże.
Więc: lśniący w bryłach węgiel wykłębia
się okrętów dymem,
grają przeciągle syreny szlakami tęczo-
wych przemijań.

Wiem: jestem jednym z wielu, szarym człowiekiem pracy,
z innymi patrzę Gdynią pod blask słonecznych przypływów.
— promienna Stella Maria wyraźnie drogę nam znaczy,
a zgodnym rytmem wysiłku gorąca krew tętni w żyłach.
Jastarnia lśni reflektorem nad falującą powierzchnią,
idziemy uparcie naprzód Wisłą — tęsknoty zwycięskiej.
— To nie jest to, że się stałam tem morzem — całym Bałtykiem,
— To nie jest to, że jestem pantaistycznie — nikim.
Czuję się zwartą siłą, — trybem włączonym w mechanizm,
mam w życiu cel wyznaczony i do spełnienia zadania.
Przez burtę od strony nawiertrznej wpatruję się w otchłań huczącą,
gdy po zciemniałej wodzie płynę rybackim kutrem.
Wieczór opada zmierzchem, słania się horyzontem,
i niesie życie portu wzbierające J u t r e m.

Helena Platta.

Vlastimil Hofman — poeta duszy dziecięcej

Znany malarz Vlastimil Hofman urodził się w Pradze czeskiej, z ojca Czecha i matki Polki. Wychowywał się w Krakowie. Wpływ wielkiego historycznego muzeum polskości, jakiem jest Kraków, i miłość dla matki okazały się silniejsze od czeskiego pochodzenia. Vlastimil Hofman jest nietylko Polakiem z wyboru i przekonania, ale jest nim w najgłębszej istocie swojej twórczości. Jest przedewszystkiem polskim malarzem. Na wystawach ogólno-europejskich największe zainteresowanie budzi swoisty, odrębny ton jego obrazów, które, na tle międzynarodowych szablonów, wyglądają niemal egzotycznie. Tak je określa cudzoziemska prasa, zaskoczona i oczarowana tym nieznanym sobie światem ludowej naszej baśni. Nas znowu najbardziej ujmuje bezgraniczna szczerość, swojskość



V. Hofman BRACIA



V. Hofman ŚPIEWAK BOŻY



V. Hofman MADONNA

i prostota, z jaką wypowiada się artysta. Gdyby ton malarski obrazów Vlastimila Hofmana można było przełożyć na muzykę, zadźwięczałby niewątpliwie jak pieśń skowronka. Wszystkie jego prace są owiane najczystszym sentymentem poetyckim, bardzo dalekim od sentymentalizmu, czyli czułostkowości. Natchnieniem artysty i jego ulubionemi modelami są dzieci. Ale nie rozkoszne, tłuste i figlarne boba, pociechy mamusi i utrapienia niani. Vlastimil Hofman ze szlachetną pasją zbieracza osobliwości, wyszukuje wśród zabiedzonej dziatwy ulicznej przedwcześnie dojrzałe twarzyczki, przemądre, lub rzewne spojrzenia, nieśmiałe, łzawe uśmiechy. I znów nie chodzi mu o realistyczne przedstawienie dziecięcej biedy i opuszczenia. Nie interesują go dziurawe bluzy, ani olbrzymie, łatane »tatusiowe« buty jego najmilszych modeli. Malarz-poeta w swej wizji artystycznej odrzuca wszystko, co jest anegdotą, chociażby wzruszającą; nie chce nic wiedzieć o poziomych i trywialnych prawdach życia. Interesuje go dziecko — świat nieskończonych możliwości, dziecko - tajemnica przyszłości, dziecko - świętość. Umorusane andrusiaki przeradzają się na obrazach Vlastimila Hofmana w dzieci - elfy, którym zachwyt nad pierwszą pieśnią skowronka użycza motylich skrzydeł. Inne znów mają długie, przeźroczyste skrzydła, jak łątki, niektórym ptasie skrzydełka wyrastają prosto z czoła, niby namacalne promieniowania budzącej się Psyche. Głęboko religijny stosunek do świata łączy się u artysty z pogańskiem wcielaniem zjawisk przyrody w fauny i bożki, pobobnie jak w obrazach chrześcijańskich prymitywów. I gorąca wiara malarza, pokrewna prostej, a serdecznej wierze świętego prostaczka z Assyżu, zdaje się ściągać Boga na ziemię, zbliżać i poufalić z ludźmi. Pochylone Chrystusiki przydrożne użyczają łaskawego ucha sierocym skargom. »Polska Madonna« — to bosa dzieweczka wiejska, pobożnie skupiona, jakby w tajnem przeczuciu swego przeznaczenia. U stóp jej dwoje dzieci. Dziewczynka wije wianuszek, zajęta tylko chwilą obecną, spokojna w oczekiwaniu życia, które przecie nadejść musi. Chłopczyk wpatruje się w Madonnę w osłupieniu, jakgdyby naraz pojął istotę świętości, zrozumiał cud. Spojrzenia dzieci z obrazów Hofmana — to całe poematy, cały świat przeczuć, marzeń i nawpół uświadomionych tęsknot. Wszystko to, o czem zapomnieli w gorączce życia dorośli, a o czem dzieci nie potrafią opowiedzieć, odtwarza ten malarz-poeta. I kobieta w obrazach Vlastimila Hofmana, to przedewszystkiem ta, z której ma powstać nowe pokolenie. Żadna myśl ziemska nie ośmieli się jej skalać. Zadziwiająca jest ta czystość uczucia, ten brak wszelkiej zmysłowości w twórczości artysty. Matka Vlastimila Hofmana musiała być nietyko dobrą polką, lecz i bardzo dobrą i rozumną



V. Hofman PIETA

kobietą, jeżeli potrafiła wpoić w syna taką cześć dla niewiasty i tak głębokie zrozumienie świętości jej posłannictwa. Tę miłość dla wszystkiego, co żyje, rozwija się, rośnie... dla wiosny w przyrodzie i życiu... ten głęboki optymizm, wiarę w przymierze młodości ze starością — wszystko to niewątpliwie zawdzięcza artysta swej matce — matce, dzięki której jest Polakiem.

M. S. Stokowska.

MATCZYNE GRANIE.

To tak razem szło: życie roześmiane
I zawsze najładniejsze mamusine granie...
Najdawniej, właziliśmy z bratem na krzesła z nogami,
W salonie czarowne misterjum w blasku świec na pianinie.
Wielka jak mszał księga z drobniutkiemi nutami
I cisza zasłuchania...
Przerwy święciliśmy, jak antrakty w kinie,
Przeciągając się i mrużąc oczy do złotych świec w lichtarzach
Potem znów wpół uśpieni, mgławiliśmy się w mirażach:
Kąpiąc się w muzyce, rosnąc, — dobrzeliśmy.
(Grała wtedy mama Feuillet'd alboum Hellera,
Chopina Mazurki, Mendelsohna Gondoljerę
I 9 Pieśń bez słów — najczęściej...)
A bielutkie są ręce matczyne
I najlepiej grają piana i dolce.
(...Synku, już idź odrabiać lekcje.
Zaraz, tylko niech suita się skończy
Tem pianissimem jaśniejszem nad ciszę,
Tak się potem cudownie każde zadanie pisze...).
A słabiutkie są ręce matczyne,
Nigdy nie zagrają allegro con brio —
(...Masz synku takie duże, takie mocne ręce,
Tak ci czasami serce niespokojnie bije —
Zagraj sam synku, as-dur poloneza...).
A takie dobre są ręce matczyne
I klawisze tak gładzą jak włosy.
(...Kiedyś Matuś, jak będę dorosły,
To Ci kupię nowego Bechsteina
Albo błyszczącego, jak stawy w nocy Blüthnera).
Grało się wtedy Peer Cynt'a, Grieg'a,
I na cztery ręce Wagnera.
I żyło się:
Zasłuchaniem, ukochaniem, pasażami —
Zasłuchaniem, miłością, akordami,
Zasłuchaniem, najlepszemi melodjami.
I tkał się serdeczny gobelin,
Jak roześmiane, okwiecone sady,
Złotej, śnionej Szecherezady.
I tak razem szło: szczęście jedyne,
I zawsze najsłodsze granie matczyne...
. . . .
Oj Matuś!
Nie kupiłem Ci jeszcze Blüthnera,
A Lohengrina, czy Normę Wagnera,
Gram już tylko od wielkiej biedy...
Tylko zawsze słucham Twego grania,
Najczystszego ukochania,
Z zasłuchaniem świętem, jak wtedy — choć we śnie.

K. Lipczyński K.U.P.

ZNOW MORCINEK W LUBLINIE.

Morcinek przyjeżdża... przyjeżdża... Morcinek... śpiewa wszystko wokoło.

Czy może być dla nas coś milszego jak chociażby sama myśl o przyjeździe »Gustlika«? O fakcie dokonanym niema nawet co mówić. Jest to radość ogromna, nadzwyczajna... Ale tak jest! Tym razem rzeczywistość okazała się dla nas bardzo łaskawa. W niedzielę rano, przyjechał do Lublina Gustaw Morcinek. — Ma wygłosić odczyt »o Śląsku za Olzą« — Idziemy wszystkie.

O godzinie piątej jesteśmy na sali. Mamy jeszcze godzinę czasu...

Publiczność schodzi się, coraz więcej, więcej i więcej...

Godzina 6-ta. Już niedługo! Powinien zaraz przyjść!

6^{15} — sala pełna! Czekamy!.. Morcinka niema! Jak można! Powinien już być!

6^{20} — wchodzi Morcinek! Staje przed nami wysmukła, szara postać. Rozlegają się przeciągłe brawa — dowód naszego uznania.— Morcinek zaczyna mówić. O Śląsku za Olzą.

Mówi o mieszkańcach Śląska, o ich pracy, trudach i... bólach. Przykro nam dlaczego tak mało do tej pory interesowaliśmy się życiem Ślązaków? Czujemy wyrzuty sumienia. — Jakby w odpowiedzi na to słyszymy: »jednak za to że zapominacie o nas, my nie czujemy do was żalu«. Słyszymy — płynące pełne skargi słowa Ślązaka. Dalej dowiadujemy się, że Śląsk trwa przy Polsce, tylko dzięki polskiej książce. »Dzięki tym książkom czujemy się bezwiednie Polakami«. Na Śląsk docierały książki Orzeszkowej, Kraszewskiego »i nieocenionego Sienkiewicza, Sienkiewicza u nas czytał każdy, Sienkiewicz był pod każdą strzechą«. I mimowoli przychodzi nam na myśl, że u nas wiele bardzo osób woli czytać płytkie powieści, niż zastanowić się nad pięknem powieści Sienkiewicza.

Horyzont naszych wiadomości o Śląsku rozszerza się, ze słów Morcinka wiemy już o historji Śląska, o zakusach Czechów na niego, o tem, że Ślązakom mniej grozi germanizacja niż czechizacja, bo chłop-robotnik do niemca jako pana i zwierzchnika odnosi się bardzo niechętnie. — »Gorzej jest z czechem, ja jeżeli mam do wyboru wroga niemca i wroga czecha, to stokroć wolę wroga niemca. Niemcy toczą walkę otwartą, czesi podstępną, mówią miłe słówka a w plecy starają się wbić nóż!« — skarży się nam »rostomiły« prelegent.

Dalej mówi Morcinek jakich to środków używali Czesi do czechizacji, a więc, starali się znieść kościół polski, szkołę, i obostrzyć prasę i t. d. Ze smutkiem dowiadujemy się, że największą uwagę zwrócono na szkolnictwo. W szkole niemieckiej dziecko zostaje egzaminowane po siedmiu, ośmiu latach, natomiast w szkole czeskiej dziecko zostaje zczechizowane w ciągu roku.

Jedną dobrą rzeczą jest to, że czesi są uważani za coś gorszego — »Bo każdy zniemczony Polak chełpi się tem, a każdy zczechizowany chłop wstydzi się tego« — oświadcza z dumą Morcinek. Jednak mimo wszystko, liczba szkół maleje, probostwa polskie znikają, prasa została zawieszona.

»Więc trzeba tym ślązakom pomóc — kończy Morcinek — bo jeżeli ten stan potrwa jeszcze z dziesięć lat, to czesi zagarną Śląsk«.

Skończył!... Długie, długie... niemilknące brawa! Jesteśmy oczarowane! Podchodzimy do estrady. Naokoło Morcinka tłum młodzieży. »Gustlik« rozdaje autografy..

I my, i my chcemy...

»A Urszulanki!« — Zwraca się do nas Morcinek. — Nie, wy podpisów nie dostaniecie, dlatego że mam do was specjalne zaproszenie. Jednak mimo to podpisy dostajemy. Rozchodzimy się! Żeby prędzej przyjechał znowu nasz »Gustliczek«.

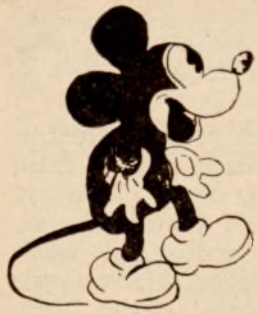
Baśka Tycner gim. 523.

O FILMIE RYSUNKOWYM.

Żył sobie w Ameryce biedny rysownik. Z trudem zarabiał na chleb i często całe noce spędzał nad robieniem rysunków reklamowych, dla dużych domów towarowych. Choć rysował bardzo dobrze, miał wielu konkurentów i w żaden sposób nie mógł się wybić. Czas mijał, a on wciąż pracował w małej izdebce na poddaszu.

Pewnej nocy, gdy znów siedział pochylony nad arkuszem papieru, usłyszał jakiś szelest w koszu od papierów. Okazało się, że małe, głodne myszki odważyły się wyjść z norek, aby poszukać jedzenia.

Samotny rysownik siedział jak trusia, aby nie przestraszyć małych głodnych gości, gdyż sam dobrze wiedział, jak przykry jest



głód. Myszki ośmielone ciszą, wyszły z koszyka, rysownik zaś dał im okruszki chleba; myszki pozbierały je szybko i uciekły do swych norek.

Odtąd co noc, gdy rysownik pracował, myszki przychodziły do jego pokoju. Sczasem zupełnie się oswoiły, przybiegały po swoje porcje, skakały i piszczały.

Pewnego wieczoru młodzieniec wrócił do domu bardzo smutny, gdyż odrzucono jego rysunek, nad którym pracował bardzo wiele dni. Zatroskany oparł się na rękach i poskarżył się myszkom. Zwierzątka patrzyły na niego mądremi oczkami i słuchały z zainteresowaniem. Następnie pobiegły do norki i zwołały wielką radę; należało przecież koniecznie poradzić swemu przyjacielowi.

Najmłodsza myszka, którą rysownik nazywał pieszczotliwie »Micky«, podniosła w górę ogonek na znak, że chce coś powiedzieć:

— Proponuję, abyśmy rozweseliły dobrego rysownika, naszego przyjaciela i pokazały mu prawdziwy mysi bal.

— Brawo! Brawo! — zapiszczały myszki i zabrały się do roboty.

Ojciec mysiej rodzinki — wysmarował swe kłujące wąsiki, mysia mateczka umyła dzieci i zaczęła pokazywać im rozmaite figury taneczne i zapewne skoki.

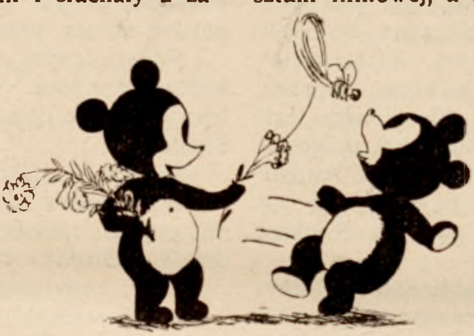
Następnego wieczoru, jak zwykle skoczyły na stół rysownika i zjadały okruszynki chleba, a potem rozpoczęły swe tańce i zabawne skoki. Mysi ojczulek piszczał, poddając im takt. Myszki były tak zabawne, że samotny młodzieniec musiał się głośno śmiać.

Powiedział nawet do siebie:

— To całkiem tak, jak w filmie!

— Film! Film! — pisnęły myszki.

— To jest myśl — rzekł rysownik, — rysować tańczące myszki dla filmu! — i natychmiast zabrał się do pracy.



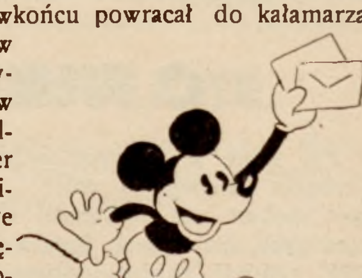
Z takim zapałem rysował tańczące myszki, że nawet nie czuł zmęczenia, ani potrzeby snu. Wdzięczne myszki pokazywały mu coraz to nowe figury. Specjalnie starała się mała Micky, wymyślając niezwykłe tańce i skoki. Patrząc na nie, młodzieniec rysował setki zabawnych obrazów.

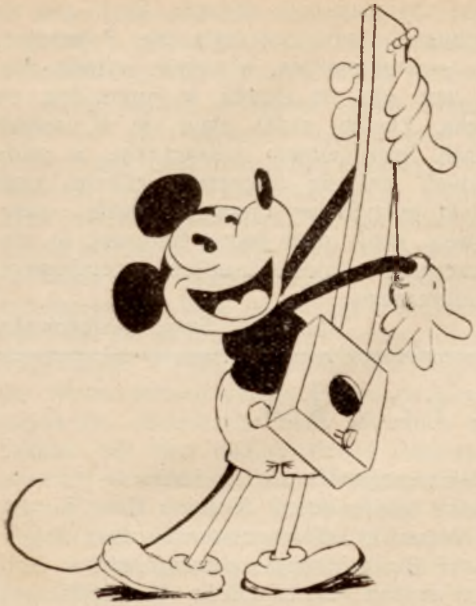
Te obrazki dał do wytwórni filmowej. Przyjęto je i zrobiono z nich film. Filmy te spotkały się z wielkiem uznaniem, zachwycają się niemi i dorośli i dzieci, zarówno w Ameryce, jak i w Europie.

Dzięki temu rysownik stał się sławny i bogaty. Tak podziękowały mu małe myszki za pomoc w biedzie!

Filmy rysunkowe, które początkowo były skromniutkim dodatkiem do programu, stały się w ostatnich latach motorem postępu sztuki filmowej, a słynna Myszka (Mickey—Mouse), albo Betty Boop jest dziś nie mniej popularna od »żywych« gwiazd ekranu. Często się zdarza, że dodatek rysunkowy, mający być tylko uzupełnieniem długometrowego filmu, w gruncie rzeczy przewyższa go znacznie swą wartością artystyczną.

Pierwszym twórcą filmów rysunkowych, takim, którego nazwisko się zapamiętało, był Max Fleischer. Jeszcze za »niemych« czasów wprowadził na ekran błazna Koko, który hulał po jego rajsbrecie (film zazwyczaj zaczynał się od fotografji samego Fleischera, zajętego rysowaniem!), płatał mu różne figle, przeżywał najrozmaitsze przygody i wkońcu powracał do kałamarza, ażeby znów stamtąd się wydostać — w następnym filmie. Fleischer często kombinował zwykłe zdjęcie ze zdjęciami rysunkowemi, albowiem rysunków do każ-

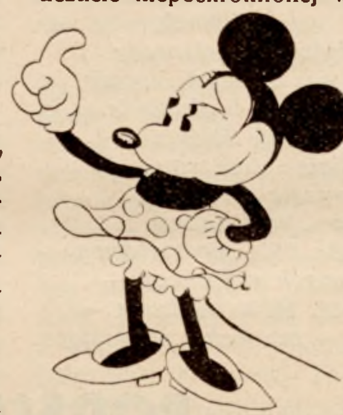




dego filmu trzeba było robić bardzo dużo, a wtedy Fleischer pracował jeszcze sam. Wkrótce jednak wziął sobie do pomocy jeszcze sześciu rysowników i wtedy wykonanie jednej groteski rysunkowej trwało cztery tygodnie. Poza doskonałością rysunku, wymagającego wielkiej precyzji i wyrazistości (do jednego nachylenia czy podniesienia ręki trzeba wykonać kilkanaście rysunków, przedstawiających ten gest, w różnych fazach), Max Fleischer posiada jeszcze talent humorysty i potrafi wymyślać dla swych bohaterów najuciezniejsze historje.

Drugim znakomitym rysownikiem jest Ub Iwerks, którego »Kot Falix« przez długi czas rywalizował z kotkiem i pieskiem Fleischera. Aż wreszcie przyszedł Walt Disney, »ojciec« Mickey Mouse, która zaćmiła wszystkich współzawodników. W groteskach myszki akcja nie ograniczała się już do kilku głównych bohaterów, lecz obejmowała »tłum«; tłum ten złożony najczęściej ze zwierząt, o pewnych ludzkich cechach (oczywiście wewnętrznych), staje się coraz bardziej żywy, ruchliwy, niespokojny, ilość obrazków fotografowanych oddzielnie wzrasta do 20.000, liczba rysowników, zajętych przy jednym filmie, wciąż się powiększa. Wykonanie filmu rysunkowego staje się pracą zbiorową, do której tylko szkice lub pomysły daje główny twórca.

Popularność grotesek rysunkowych rośnie z dnia na dzień. Tem, co w nich najwięcej zachwyca, jest ich racjonalność, to znaczy oderwanie od życiowego realizmu. Wszystkie niemożliwości stają się tam możliwe, nie istnieją w tym świecie żadne prawa przyrody, ani zasady nauki; jeżeli tego trzeba, krowa może fruwać, ryby mogą złowić rybaka, a łysa czaszka pana u fryzjera, za dotknięciem jego grzebienia, porasta piękną, bujną czupryną. Właśnie to, że historje, które tam oglądamy, przeczą wszystkiemu, na co zwykle patrzymy w życiu i do czego przywykliśmy, wywołuje w nas uczucie nieposkromionej wesołości. Pomimo najrozmaitszych cudów współczesnej techniki, nie możemy w życiu zobaczyć pociągu, który, »widząc«, że most na rzece zniszczony, przeskakuje sobie poprostu na drugi brzeg i pędzi dalej. W filmach rysunkowych wszystko żyje: drzewa i chmury, domy i przedmioty codziennego użytku; stoły i fotele, garnki i talerze ustosunkowują się życzliwie lub wrogo do bohaterów.



Od czasu powstania filmu dźwiękowego, groteski rysonkowe zyskały jeszcze, ale też



i dźwięk ma tu większe »pole do popisu«, niż w filmach normalnych. Tu, po ułożeniu scenarjusza, nie ilustruje się go muzyką, lecz przeciwnie — do rytmu muzyki szkicuje się ruchy i dorabia rysunki. Dźwięk i ruch są tak zespolone, że nie wiemy co z czego powstaje; ruch z dźwięku, czy dźwięk z ruchu. Naprzykład, do ukochanej prowadzi drabinka z nut — dźwięków, czy może to każdy krok zakochanego rodzi nową nutkę melodji. Upadek czegoś ciężkiego wywołuje dysonans, możliwe jest jednak, że akord dysonansowy sprawia, iż to coś się przewraca. Jedni poruszaią się »staccato«, inni — »glissando«, w innym rytmie chodzi ten, kto się skrada, w innym ten, co ucieka. Zwykły stołek staje się w naszych oczach instrumentem muzycznym, a może również stać się tancerzem, którego nogi w takt muzyki wykonywują zawiłe »pas«. Słowem każdy metr taśmy filmowej, to niewyczerpane źródło humbru rysunkowego i muzycznego.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

FILM I RÓŻYCZKA.

On — był gwiazdorem, grywał w licznych [filmach,
Smukłego młodzieńca cudnej urody.
W rzeczywistości nos miał jak piwonję,
Był głupi, łysy, śmieszny i niemłody.
A ona — miała na imię Różyczka,
Piętnaście lat i śliczne złote włosy,
Całemi dniami marzyła o filmie
I zbierała skrzętnie „jego“ fotosy.
Aż raz...! Różyczka była nieprzytomna —
Chodziła sama i wzrok miała tępy —
Dziwili się wszyscy. Róża wiedziała —
przecież to „on“ — przyjechał na występy.
Jakoś przekradła się za kulisy —
„Gdzie pójdę dalej? Ratuj o Boże!“
Wtem patrzy, stoi pan starszy, łysy...
„Ach! On mi pewno dopomoże!“
„Czy można widzieć Dicka Allona?!“
Tak pyta drżąc czerwono-nosego —
„Jestem Allanem panienko kochana,
Panienka życzy sobie czego?“
O straszna chwilo! — Róża zemdlała!
Los jej zgotował zawód nowy —
— Od tego czasu uczy się porządnie
Film sobie całkiem wybiła z głowy!

Krysia Korewicka.

PODSŁUCHY.

Tytuł co prawda konspiracyjny, lecz nie trzeba sądzić, że będzie tu mowa o... polityce. Nic podobnego, obrazki chwycone na gorąco z współczesnego życia Krakowa, wzięte na wesoło.

W grodzie Krakusa bywam często i choć znam go dobrze, wszak to moje miasto rodzinne, lubię błądzić po nim samotnie. Lubię obserwować zmiany, które przeistaczają zwolna miasto w siedzibę »bussinesmanów«. Może się mylę, twierdząc, że czas zrobił swoje, że Kraków wbrew prawom fizyki o bezwładności ciał stałych, przesunął się trochę w kierunku... południowo-wschodnim, tak na pozór z wyglądu.

Zmiany dodatnie można zaobserwować jedynie w śródmieściu i przyległych doń ulicach. Czem dalej w las, tem więcej drzew, czem dalej od rynku i śródmieścia, tem większe błoto i kurz. Szary człowiek wsi, prowadzący swego konia i furkę śródmieściem za uzdę, po szczęśliwem przejechaniu »asfaltów«, czuje się zupełnie swojsko, jak w domu, jak na jarmarku w pobliskiem miasteczku, gdzie bytność jest koniecznością bez względu na potrzebę, jest niejako tradycją przekazywaną z ojca na syna. Jak tam, tak i tu uciekać trzeba przed pędzącym w dnie słotne samochodem, by nie być obryzganym błotem od stóp do głów, podobnie tumany pyłu przysłaniają słońce, gdy wiatr harcuje po zaułkach ulic, a obok handlarze z nieprawdopodobną tandetą nawołują przechodniów do swoich kramów.

A tło? Stary ratusz z czasów Zygmunta I. Potężny masyw kościoła Bożego Ciała, trwają

w swem otoczeniu niezmiennie mimo upływu wieków, a podwójną miarą liczyć wypadnie pokolenia wyrosłe i zmarłe w ich cieniu.

Będąc małym chłopcem, często wystawałem pod »Barbakanem« zazdroszcząc tym, którzy mając pieniądze, mogli nacieszyć wzrok obrazem wnętrza budynku, gdzie królował duch Marcina Oracewicza. Tablica umieszczona na murze, wyjaśniała nam ten czyn wiekopomny. W fantazji chłopięcej widzieliśmy padającego Moskala, od strzału z muszkietu, który był nabity prochem i... guzem. Guzem widywanym u czamar i kontuszów tych, którzy reprezentowali dawną Polskę na trzeciomajowych obchodach. Dziś tajemnica Barbakanu nie nęci nikogo, dzięki skasowaniu szczelnej drewnianej bramy i zastąpieniu jej żelazną okratowaną. A zapewne nikt z rodowitych krakowian wzorem lat dawnych nie płaci wstępu, pozostawiając to obcym i... cudzoziemcom.

Pomnik zwycięzcy z pod Grunwaldu był dla młodego pokolenia nielada atrakcją. Ogrom konia dosiadanego przez króla, był zawsze przedmiotem podziwu i admiracji. Siedzenie na podobnym koniu było niedościgłem marzeniem, kiedyś, później z szablą i lancą. Nawet uplastyczniona tak realistycznie niemoc Ulrycha von Jungingen nie wzbudzała takiego zainteresowania jak właśnie ów koń, którego wprowadziliśmy w myśli do Rondla (Barbakanu), by wystawał ponad mury i flanki. Sprawę umieszczenia konia króla Jagiełły omawiano poważnie i serjo (bez króla nie wiedzieć dlaczego) Tak to dawniej, a dziś?

»Moja pani kochana,— pyta podstarzała jejmość podobnej sobie paniusi, — kto to siedzi na tym koniu?«

»Plac Matejki, to pewnie on sam Matejko«. Matejko na koniu. To podsłuch.

Kraków Mekka Polski. Wycieczki niepowstrzymaną falą dążą do grodu Kraka. Z nad dalekiej Naroczy, po Beskid Śląski, od Kaszub po brzegi wartkiego Czeremoszu, dążą ci, którym odzyskanie Niepodległości otworzyło wrota do serca Polski. Jesteśmy znowu na Wawelu. Znikły, zczezły bezpowrotnie mundury armji zaborczej, nie odbija już echo trąbki żołnierskiej o dostojne mury. Krok i wołanie szyldwacha »do broniiii,« nie mąci już ciszy sanktuarjum narodowego. Tak to dawniej, a rzeczywistość?

Po zaopatrzeniu się w filcowe papucie, zwiedzamy wskrzeszone do dawnego dostojeństwa sale i umieszczone w nich pamiątki. Wizje husarji z pod Kircholmu, Wiednia, wytrwałe zastępy króla Stefana pod Pskowem, przenoszą nas w czasy odległe, pełne chwały i męstwa przodków. Nasz umundurowany przewodnik, znudzonym głosem, a raczej półgłosem objaśnia w skrócie znaczenie pamiątek. Przed obrazem Wagnerowskiego bohatera Lohengrina czar wieków minionych pryska bezpowrotnie. Jedno tylko słyszymy słowo wyraźnie... To Leon Grün mówi cicerone i wzrokiem wiodąc po grupie skupionych osób, zda się oczekiwać na słowa zachwytu a, aa, aaa, splendid Wunderbar. To podsłuch.

U stóp Wawelu rojno i gwarno. Rozmowy, żarty, uśmiechy cichną w miarę wstępowania na górę. Pomnik Naczelnika skupia uwagę kroczącej rzeszy. Przewodnik, młodzieniec z opaską oznajmia: pomnik Tadeusza Kościuszki, zwycięzcy z pod Racławic! »Pomnik ten stał dawniej długi czas na rynku krakowskim«. Młody człowiek słabo orjentujący się w historji najnowszej, zapomniał faktu, że przecież nie tak dawno Naczelnik z szopy strażackiej wyjechał na Wawel, omijając rynek krakowski. To podsłuch.

Dziwne i smętne przychodzą myśli. Tempo życia dnia codziennego związane z historją i przeszłością. Byle zbyć, byle zaćmić bez zastanowienia się i obawy, że może się znaleść ktoś, kto głośno może zwrócić uwagę: »przepraszam, pan się myli«. Konsternacja słuchaczy i przewodnika.

Wrażenia słuchowe i wzrokowe utrwalają się łatwiej w pamięci jak czytane. Kto płaci ten wymaga. Niechaj ten obcy turysta ma tę pewność i przekonanie, że podana mu prawda o historji jakiegoś zabytku, będzie stała i niezmienna, choćby słyszana częściej bez względu na to kto i kiedy będzie tym przewodnikiem. Przysłowiowa ignorancja ludzi zachodu w odnoszeniu się do Polski i jej dziejów, oby nie była pogłębiana przez domorosłych... pseudohistoryków.

Henryk Nidjol

Swoszowice w marcu 1936.

»WARSZAWA PRZYSZŁOŚCI«

Warszawa dzisiejsza posiada wiele pięknych ulic, estetycznie rozplanowanych i dzielnic, ale posiada także dużo ulic i zabudowań, które przerażają swą szpetotą — powód udręczeń ludności stolicy.

W gmachu Muzeum narodowego została zorganizowana wystawa, otwarta od 28. III. do 3. V. dla zaznajomienia zwiedzających z nowemi projektami urbanistycznemi.

Komunikacja — Zagadnienie ruchu komunikacyjnego rozwiązano uwzględniając geograficzne położenie stolicy na dwóch szlakach dróg międzynarodowych. Pierwszy z zachodu na wschód Europy łączy polskie ośrodki przemysłowe: Łódź-Warszawa-Białystok, drugi szlak międzymorski: Bałtyk-Morze Czarne, stanowi ważną arterję komunikacyjną na linji Gdynia-Lwów. Projekt stworzenia arteryj komunikacyjnych, równoległych do tych zasadniczych kierunków, staje się uzasadnionym. W tym wypadku można będzie wykorzystać Wisłę jako trasę prowadzącą z południa na północ.

Szereg map i wykresów zaznajamia nas z projektami ruchu najbliższej i dalszej przyszłości.

Widzimy nieład, wywołany obecnym stanem rzeczy, spostrzegamy jak obciążone są główne arterje śródmieścia, jak utrudniona jest komunikacja między poszczególnemi dzielnicami stolicy.

To też z zachwytem oglądamy projekty, które rozwiązują te zagadnienia w sposób głęboko przemyślany.

Środki komunikacyjne Stolicy obecnie są niedostosowane do jej potrzeb, do jej wielkości, zaludnienia i rozwoju jako ośrodka przemysłowej produkcji. Obecnie powszechnym środkiem lokomocji jest tramwaj. Ilustracje wskazują, że tramwaj jako środek lokomocji, nie może rozwinąć większej szybkości i stanowi powód do tworzenia się zatorów. To też z zajęciem oglądamy śliczny jak dziecinna zabawka projekt »Metro«. Ta kolejka podziemna może rozwinąć stosunkowo dużą szybkość przy wielkiej zdolności przewozowej i odciąży ruch na linjach o największej frekwencji. Z zachwytem patrzymy na projekt dworca kolejki pod placem Marszałka Piłsudskiego.

Monumentalnie przedstawia się projekt dworca kolejowego w czworoboku między Marszałkowską, Alejami Jerozolimskiemi, Chmielną i Wielką. Ciekawy jest pomysł wykorzystania Wisły, jako trasy Siekierki-Bielany dla tramwajów wodnych.

Duże zastosowanie w Warszawie Przyszłości na linjach o mniejszym ruchu będzie miał autobus, jako czynnik dowożący do głównych linij masowego przewozu.

Specjalna barwna mapa ilustruje układ linij ruchu, które rozchodzą się promieniście ze środka miasta ku krańcom.

Linje radjalne są połączone ze sobą linjami obwodowemi, które biegną w możliwie prostych kierunkach wzdłuż ważniejszych punktów i skupień.

Plan rozbudowy i parków — Po zagadnieniach komunikacji, przystępujemy do interesujących zagadnień rozplanowania miasta jako całości i jego poszczególnych dzielnic. Projekty olśniewające, równocześnie proste i oparte na przemyślanych podstawach. Na ogromnych stołach rozpościerają się przed nami barwnie wykonane mapy plastyczne. We wszystkich projektach położono nacisk na wykorzystanie Wisły; po obydwu jej brzegach będą bulwary od Bielan do Wilanowa i Natalina. Obszary Siekierek, dziś wilgotne i niezdrowe dla mieszkańców, mają być wyzyskane jako tereny sportowe. Tam powstanie park dla boisk ćwiczebnych, zawodniczych i urządzeń do sportów wodnych. Park ten między wisłą i jeziorem czerniakowskiem, będzie się łączył z parkiem w Wilanowie i Natalinie, podobnie wykorzystanym. Śmieją się nam oczy do projektu parków na Woli, Żoliborzu i Saskiej Kępie.

Dominującą rolę w tym systemie otrzyma projektowana dzielnica Marszałka Piłsudskiego, która zgrupuje najznakomitsze gmachy i zwiąże zieloną arterją dwa kliny zieleni: Łazienkowsko-Sierakowski z Mokotowskim.

Projektowana jest również arterja zieleni, biegnąca w przedłużeniu Ogrodu Saskiego,

hal i koszar Mirowskich ku zachodowi oraz przez Skarpę, Karową, wiadukt i most na wschód. Kompleks Belwedersko-Łazienkowski, oś Zamku Królewskiego i Cytadeli, Aleja Słowiańska na Marymoncie, Saska Kępa, Olszynka Grochowska, Wawer i Królikarnia zamienione na obszary parkowe, wywyczarowują w naszej wyobraźni obraz przyszłej Warszawy jako miasta, które będzie tonęło w uroczej i malowniczej zieleni, zyskując przez to polepszenie warunków zdrowotnych. Przedłużenie bulwarów wiślanych w kierunku Bielan ku projektowanym na północy osiedlom letniskowym nad Narwią, oraz ku południowi wzdłuż pasa osiedli w kierunku Czerska i do ujścia Pilicy, stanowi także ważny szczegół w ogólnem rozplanowaniu.

Osiedla zdrowotne — Należy zauważyć projekty osiedli zdrowotnych w okolicach »Warszawy Przyszłości«. Szata leśna tych okolic nie jest zbyt bogata. Na północy rozpościera się puszcza Kampinowska, zdala od szlaków komunikacyjnych, w trudno dostępnym i mało urodzajnym terenie. Krasa pierwotna tych lasów zachowała się w dużej części i puszcza stanowi ciekawy, urozmaicony wydmami teren badań przyrodniczych. Tu ma powstać wspaniała miejscowość letniskowa i wypoczynkowa. Podobny charakter będzie miało piękne uzdrowisko w Otwocku.

Nie pominięto w projektach wyzyskania zabudowań Starego Miasta, które jako zabytek historyczny, należy odsłonić i umiejętnie podkreślić istniejące objekty o znaczeniu zabytkowem.

Przemysłowe dzielnice — Położenie ośrodków przemysłowych zaprojektowano w sposób zgodny z warunkami komunikacyjnemi i klimatycznemi. Ponieważ w Warszawie przeważają wiatry wschodnie, wszelkie fabryki należałoby umieścić w dzielnicy Grochowa. — Wola natomiast została przeznaczona na przemysł niezadymiający.

Wodociągi — Gdy wszystkie te projekty zostaną zrealizowane, koniecznością będzie rozszerzenie linji wodociągów i kanalizacji. Odpowiedni wykres wskazuje, że większa część pereferyj Warszawy nie posiada wodociągów ani kanalizacji. To też niekulturalnie niestety odurzają widza ulice dzielnic nieskanalizowanych, z utęsknieniem patrzymy na projekty, pragnąc, by wszystkie te plany stały się jak najprędzej rzeczywistością.

Ciekawe światło na pewien odcinek życia kulturalnego mieszkańców stolicy rzuca wykres, pouczający nas o zużyciu wody przez mieszkańców niektórych miast europejskich. Otóż zużycie wody przez jednego mieszkańca, w ciągu jednej doby wynosi w Londynie — 182 l., w Berlinie 234 l., w Paryżu 370 l., w Rzymie 554 l. Obok tego w Warszawie 115 l.

Ciekawym jest przyrząd, wskazujący sposób oczyszczania wody ze ścieków, które zanieczyszczają Wisłę i utrudniają uprawianie sportów wodnych.

Wystawa obejmuje także obszerny dział map i wykresów, które pouczają o potrzebie umiejętnego rozmieszczenia szkół, szpitali, ośrodków zdrowia.

Odpowiednie wykresy wskazują w jaki sposób planować osiedla robotnicze w odpowiednich punktach tak, żeby każdy z pracowników fabrycznych mieszkał w najodpowiedniejszych warunkach zdrowotnych, miał łatwe połączenia komunikacyjne ze swoim ośrodkiem pracy, aby mógł tam dostawać się pieszo w ciągu kilku minut.

Z dużym nakładem pracy i starań zorganizowana wystawa, pozwala poznać braki naszej Stolicy, oraz zaznajamia nas z projektami na najbliższą i dalszą przyszłość.

Wychodząc, oglądamy jeszcze prześlicznie wykonane fotografje nowoczesnych gmachów Stolicy. Żegnamy zajmującą wystawę z pragnieniem, aby plan przyszłej Warszawy był zrealizowany jak najprędzej.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

MAGICZNE RĘCE.



Postać Profesora Glatzel'a zajęła dziś wśród naszych powag chirurgicznych wybitne miejsce.

Ten człowiek wzbudza powszechne zaufanie. Ma reklamę nietylko w kraju, ale i zagranicą, zwłaszcza po zdobyciu pierwszej nagrody za najszybsze wykonanie operacji. Czy tylko reklama ściąga tłumy chorych do Krakowa? »Zręczny«, »odważny«, »spokojny«, »pogodny« — są to przymioty bardzo zachęcające.

Chory przyjeżdża do Krakowa złamany, zniechęcony do życia.

Tu mówią mu: »Nie tak łatwo dostać się do Profesora«.

Zaczyna od telefonu. Nakręca automat na N. 14494 — »Halo! Czy to mieszkanie Prof. Glatzel'a?«

»Tak« — odpowiada jakiś głos kobiecy.

»Kiedy można się zobaczyć z Panem Profesorem?«

Nie wiem, niema go w domu, ma wrócić około 6-ej«.

»Możeby Pan Profesor mógł dać znać jak przyjdzie, bo jestem zdaleka i bardzo mi na czasie zależy«.

»Powtórzę mu to wszystko, ale Profesor tak się śpieszy do swoich chorych do szpitala, że często nie sposób go zatrzymać«.

Zaczyna się rozmyślanie: Telefon wątpliwy, — prędkie zobaczenie się z Profesorem wątpliwe, — ale troska Profesora o chorych nie ulega żadnej wątpliwości. — »Tak się śpieszy do swoich chorych, że na nic nie ma czasu, — może i do mnie będzie się spieszył?«... telefon przerwał tok rozmyślań chorego.

»Halo! Kto mówi? —

»Glatzel, czy to p. X?, jeżeli długo nie potrwa, proszę zaraz przyjeżdżać — czekam«.

»Dobrze!«

Taksówka odwala 60. km. na godz. Zatrzymuje się pod N. 22 wąskiej ulicy św. Tomasza. Kamienica okazała, ale szara z zewnątrz, — chłód od niej wieje. Wnętrze imponuje obrazami pierwszorzędnych artystów, ale i tu wszystko mrozi... — (to mróz operacyjny wiatrem siwym dmucha). Szeroki rzut półdrzwi — w prostokątnej przestrzeni zarys skromnie pochylonej sylwetki — na twarzy uśmiech...

»Proszę bardzo, — proszę wejść«.

Zaczyna się serdeczne i troskliwe dopytywanie o cierpienia — badanie, wreszcie pociecha: »Od najgorszych rzeczy nie zaczniemy, najpierw trzeba zrobić szereg prześwietleń — potrwa to długo 3, 4, a może więcej dni«.

Profesor z wielką delikatnością pyta chorego o zakład roentgenologiczny, do którego ma zaufanie.

Chory bez namysłu odpowiada — »niech Pan Profesor sam poradzi«. Błysk radości, — uderzenie ręką o kolano i pełne zadowolenia »dobrze« jest wyrazem, że Profesor wyczuł zaufanie u chorego. Odrazu daje zlecenia roentgelogowi. Sprężystość w działaniu, oraz wielka ostrożność w słowach. Chory nic się nie dowie, dopóki Profesor nie przeprowadzi dokładnych badań. Już **pierwsze zetknięcie** się z Profesorem działa na chorego uspokajająco.

Po licznych prześwietleniach **drugie spotkanie**. Oglądanie klisz w milczeniu i znów

delikatne pytanie, w której lecznicy chory pragnie zamieszkać. »Niech Pan Profesor sam doradzi«. I znów uśmiech radosny, uderzenie ręką o kolano i pełne wyrazu »dobrze«. Najlepiej będzie u S. S. Miłosierdzia na Łobzowie, proszę tam zaraz dzisiaj się udać«. Profesor lubi, gdy mu się ufa, wówczas działa z odwagą.

Trzecie spotkanie na Łobzowie o 6'30 wieczorem.

»Pani już jest — to dobrze!« Wszystko zawsze dobrze, zmięszane z uśmiechem, działa leczniczo na chorych.

Obserwacje w szpitalu trwają dość długo. Profesor ani miną, ani ruchem nie okazuje choremu co go czeka. Ten najszybszy człowiek w wykonaniu opeiacyj, jest bardzo powolnym i ostrożnym w decydowaniu się na nie. Wrazie najmniejszych wątpliwości zwołuje konsyljum. Dopiero po gruntownych przygotowaniach oznajmia choremu: »Do widzenia — jutro na sali operacyjnej« — Czyni to z takim zdecydowanym uśmiechem, że potrzeba zabiegu chirurgicznego nie ulega żadnej wątpliwości.

Spotkanie na sali operacyjnej. Dokoła stołu kręci się sporo osób. Siostra W. układa rękawiczki gumowe, pielęgniarki ustawiają stoły, stołki, kotły buchające parą z gotującemi się narzędziami. Cała sala zamienia się w jakąś gęstą mgłę białą, w której giną sylwetki białych fartuchów, a nawet świateł. Chory ma już przywiązane pasami nogi, zabierają mu ręce na boczne podstawki do skrępowania — nad głową pochyla się Doktór S. ze swoją maską do narkozy.

Robi się szaro i mimo spokoju zarysowuje się w powietrzu duży znak zapytania — uczucie przykre...

»Dobrze będzie!« mówi łagodnie i swobodnie Profesor. Człowiek z piany, ale nie Profesor. Takie to śmieszne, że jeszcze poprzez maskę chciało się śmiać. Może to pokój dziecinny, gdzie dzieci puszczają bańki mydlane? Profesor tonie w pianie mydlanej dosłownie — to szorowanie rąk trwa bez końca. Maska cudowny sen sprowadza. Postać z piany niknie coraz bardziej, a chory nie wie co to są przykre uczucia narkotyczne — tak tu wspaniale usypiają.

Dobre oczy Sióstr, pielęgniarek, lekarzy zlewają się w jeden serdeczny nastrój rodzinny. Na tem tle postać Profesora przepełniona dobrocią ojcowską, że chory zapomina o operacji.

Ostatnie akty strzeliste płyną ufnie do nieba; — taką pewność i spokój może mieć tylko dziecko pod opieką najtroskliwszej matki. **Obudzenie** — mimo cierpień fizycznych, — znów nacechowane ufnością, że Profesor zrobił wszystko jaknajlepiej.

Wizyty Profesora w szpitalu są dla chorych punktem centralnym każdego dnia. Ze wszystkich łóżek odzywają się głosy już od samego rana: »Siostrzyczko, kiedy dziś przyjdzie Profesor?« — »Panie Doktorze, ile dziś będzie operacyj?« »Dwie?« »Jak to dobrze!« — anormalna radość tłumaczy się tem, że chorzy cieszą się na dwukrotną wizytę Profesora. Południe jest słonecznym punktem kulminacyjnym w szpitalu – w tym czasie zjawia się najczęściej Profesor Glatzel. Po wszystkich piętrach, salach, separatkach, przelatuje błyskawiczna wiadomość: Profesor przyjechał! — Rozmowy ustają, chorzy oczekują wizyty. — Ciszę przerywa głos Profesora. Zawsze uśmiechnięty, pogodny, jakgdyby go nigdy osobisty ból nie dotknął. Wciąż rozrywany pomiędzy szpitalami, miastami, wiecznie w ruchu, nigdy czasu nie ma, Profesor mówi bardzo mało, głosu jego prawie nie słychać w szpitalu, dlatego każde jego słowo bywa cenione na wagę złota. Umęczony trudem i odpowiedzialnością za setki i tysiące żyć ludzkich, dla chorych zawsze wypoczęty. Postać z lekka pochylona, z charakterystycznym ruchem prawej ręki, zwłaszcza wskazującego palca, to nieustanna gotowość do chwytania narzędzia, którem walczy o zdrowie, a nawet życie ludzkie. Z chorymi tak mało mówi o ich cierpieniach, rzadko pyta o ich potrzeby, a jednak wszyscy czują się lepiej po wizycie Profesora. Pozorna obojętność Profesora znika, gdy od czasu do czasu doleci do uszu chorego rozporządzenie: »Siostrzyczko, proszę dawać p. X pożywne płyny, do rosołu ze dwa żółtka« i t. p.

Najciekawsza chwila. Chirurdzy przychodzą, jak na popis na salę operacyjną do Profesora. Zdawałoby się, że człowiek o wielkiej sławie, musi gromkim głosem wydawać

rozkazy, tupać nogami, robić groźne miny — to wszystko bywa usprawiedliwione w chwili zdenerwowania.

Godzina 11. Na sali operacyjnej cisza, mimo licznego personelu. Profesor dokonuje zabiegu chirurgicznego w obecności licznej asysty — lekarz zakładowy, 2—3 chirurgów, Siostra chirurgiczna, kilka pielęgniarek i t. p. — dowód poczucia wielkiej odpowiedzialności.

Chłopczyk uśpiony ciężko oddycha. Z bocznej umywalni wchodzą chirurdzy w białych płaszczach i maskach na twarzach. Na ręce wciągają cieniutkie gumowe rękawiczki — (nie może być na nich nawet tak małej skazy, jak ukłucie szpilki). Mimo zawoalowanych twarzy chirurgów, łatwo rozpoznać Profesora — po jego lekko pochylonej, ale zdecydowanej postaci, po skłonie prawej ręki. Zjawienie się Profesora wprowadza specjalny nastrój — nikt z obecnych nie drgnie, by nie przerywać ciszy. Profesor z miłością pochyla się nad chorym, skupia się w sobie... Wzrok skoncentrowany w jeden punkt. Wszystkie oczy zwrócone w kierunku Profesora. Na dany znak, zbliżono wielką lampę do stołu. Światło zalewa drobną twarz chłopczyny. Sala robi wrażenie jakiegoś sanktuarjum. Siostra W. przysuwa kocioł z gotującemi się narzędziami, wyjmuje je na dany znak odpowiedniemi szczypcami, układa na przygotowanym stoliku. Dezynfekcja w chirurgji jest tak ważna, że unika się nawet rozmowy, by para nie osiadła na narzędziach.

Wszyscy stoją zdala od stołu operacyjnego. Asystenci — chirurdzy zbliżają się do stołu, otwierają usta chłopakowi — (oddech ich jest izolowany maską). Profesor bierze nożyce i zdecydowanym ruchem wsuwa je dość głęboko w jamę ustną. Po chwili wyciąga lewą rękę do Siostry W. i wyrzuca na podaną ligninę dużą narośl — krew zalewa całe usta — praca coraz bardziej utrudniona. Profesor nagle zatrzymuje się; — »tego na roentgenie nie było!« — Bez żadnego zdenerwowania, rzuca cichy rozkaz: »Siostro, młotek«. Kilka śmiałych uderzeń usuwa przerośniętą kość. Zanim otoczenie zdążyło się zorjentować o co chodzi, operacja była skończona. »Zawołać ojca, trzeba mu pokazać niespodziankę«.

Chirurg nie może ślepo kierować się obrazem roentgenowskim. Lekarz — ojciec operowanego chłopca, zjawił się na sali. Profesor w milczeniu pokazał mu kawałek kości. Twarz Profesora zdradzała wielkie zadowolenie. Operacja udała się.

Profesor Glatzel ma szczęśliwą rękę nawet wówczas, gdy chorzy przyjeżdżają do niego »na poprawkę« po dwu lub trzech nieudałych operacjach. Przy trudnych operacjach żołądkowych, których miewa setki w ciągu roku, wykazuje całą swą biegłość. Starczy mu jedna trzecia zdrowego mięśnia żołądkowego, do skombinowania dobrze funkcjonującego organu.

Dobroć, jaką obdarza wszystkich chorych bez różnicy, ściąga specjalne błogosławieństwo dla jego pracy.

Pożegnanie z Profesorem najwymowniej ilustruje, czem on jest dla chorych. Ostatnie słowa Profesora są zwykle streszczeniem jego troski ojcowskiej:

»......Proszę mi wstydu nie zrobić!«

»Nie zrobię Profesorze!«

»I«.

W SŁUŻBIE LUDZKOŚCI.

— Bóg mi cię zesłał dziewczyno! Zawołałam na widok Hanki — zawodowej pielęgniarki — Właśnie mi potrzeba danych, dotyczących Twojego zawodu i myślę, że mi ich udzielisz.

— Ależ jaknajchętniej — odparła smukła panienka. Mam dziś akurat wolne popołudnie, więc możemy spokojnie pogawędzić — tylko gdzie? —

— Chodźmy do parku — siądziemy sobie — wiosenne słonko grzeje przyjemnie.

— Pielęgniarka musi zdobyć przedewszystkiem wykształcenie fachowe — t. zn. musi ukończyć specjalną szkołę.

Szkolnictwo to jest u nas postawione wspaniale.

Do szkół pielęgniarstwa zasadniczo nie

trzeba matury, wystarczy 6 klas gimnazjum z tym jednak, że pierwszeństwo mają maturzystki. Ustrój szkół jest semestralny. Uczennice są obowiązane mieszkać w internacie szkolnym, gdzie otrzymują całkowite utrzymanie. Nauka trwa przeważnie około dwóch lat.

— Drogie są te szkoły? wtrącam pytanie.

— O tak, na dzisiejsze czasy są one stosunkowo bardzo drogie.

I tak np. Warszawska Szkoła Pielęgniarek mieszcząca się przy Koszykowej 78 przyjmuje kandydatki w wieku 18—29 lat. Nauka trwa 2 lata i 6 miesięcy. Wpis 125 złp., umundurowanie 160 złp. i pomoce naukowe 110 złp.

Podobne warunki są w Poznańskiej i Krakowskiej Szkole Pielęgniarek, tam jednak udziela się zniżek do 120, 100 i 80 złp.

Szkoła Pielęgniarska Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie przy ul. Smolnej 6 jest cokolwiek tańsza. Szkoła przyjmuje kandydatki w wieku 18 — 30 lat, które przechodzą 3 miesięczny okres próbny. Nauka trwa 2 lata. Po ukończeniu szkoły uczennice obowiązane są wstąpić do Korpusu Sióstr P.C.K. i obsługują conajmniej 3 lata na płatnych stanowiskach w zakresie swego zawodu. Opłaty szkolne wynoszą: wpis złp. 100, umundurowanie 150, internat 50 złp. miesięcznie.

— Opłaty te jak na dzisiejszy kryzys wydają mi się bardzo wysokie — przecie mało którzy rodzice mogą sobie na to pozwolić, a ponieważ są to szkoły internatowe, więc o dorabianiu niema mowy.

Oczywiście — ale ratuje sytuację fakt, że szkoły mają stypendja i udzielają licznych zniżek.

— Na czem polega sama nauka?

— Studja są praktyczno-teoretyczne — zaczynają się czteromiesięcznym okresem próby i już po krótkim czasie można się przekonać, kto jest nieodpowiedni i musi wystąpić. Te pierwsze miesiące, to nauka bakterjologji, higjeny i pielęgniarstwa. Studja czysto teoretyczne z małą domieszką praktyki nie na ludziach, a na ciężkich drewnianych modelach. Potem 6-cio miesięczny kurs praktyki szpitalnej. Potem następuje druga serja — wykładane są już przedmioty bardziej teoretycznie, np. choroby: wewnętrzne, zakaźne, dziecięce, a potem znów praktyka w szpitalu i powrót do szkoły na trzecią serję teorji — i szkoła ukończona.

No, ale przecie nie każda kobieta ma do tego zawodu zdolności?

— Oczywiście, ale bardzo dużo, szczególniej z pośród tych dziewcząt, które przeszły harcerstwo lub T. W. R. Naturalnie pamiętać trzeba, że pielęgniarka musi być silną i zdrową na ciele i duszy.

Zawód ten wymaga ponadto charakteru cierpliwego, wytrwałego, energicznego i pobłażliwego, oraz usposobienia poważnego, łagodnego i serdecznego, ale zarazem zdecydowanego. Stanowczość, dokładność, zdolność przewidywania i zmysł organizacyjny, to zalety, które dziewczyna, obierająca zawód pielęgniarki posiadać musi.

— No, a jak się przedstawia możność pracy?

— Jak dotąd, to doskonale, bo w tej chwili niema ani jednej zawodowej pielęgniarki bez pracy. Bezrobocie dotąd nie dotknęło zawodu pielęgniarki i coraz to nowe tereny pracy otwierają się tutaj przy możliwościach ściślej specjalizacji, a więc: poradnia przeciwgruźlicza, zakłady rengemologiczne, higjenistki szkolne, ośrodki zdrowia, szpitale, sanatorja, kliniki, domy prywatne i t. p. Sanitarjuszki mogą pracować jako t. zw. laborantki przy różnych naświetlaniach lampą kwarcową, lub promieniami Roentgena, przy elektryzacji, zabiegach wodnych i t.p. Ponadto sanitarjuszkom powierzane są czynności gospodarcze, jak to: wydawanie produktów spożywczych, nadzór nad gotowaniem, opieka nad bielizną i t. p.

Ściśle wyodrębnionym działem są tu hygjenistki — rola ich jest doniosła; pracują one w ośrodkach zdrowia, które mają objąć nietylko opiekę nad zdrowotnością ludzkości — wypowiadają one walkę chorobom społecznym: gruźlicy, alkoholizmowi, zakładają opiekę nad matką i dzieckiem, krzewią kulturę tam, gdzie donieść najtrudniej, w biednych domach robotniczych, w chałupach chłopskich, u bezrolnych komorników — uczą czystości, higjeny, pokazują, jak w najgorszych nawet warunkach materjalnych urządzić sobie można życie. W tym celu wygłaszane są pogadanki, ilustrowane odpowiedniemi przeźroczami, rozpowszechnianą jest popularna literatura.

Ponadto higjenistki udzielają wskazówek co do przestrzegania wymagań higjeny w domu, oraz kontrolują na mieście, jak zostały wykonane ich zalecenia.

Z zawodu pielęgniarki wyodrębnia się jeszcze zawód ortopedystki. Specjalnych szkół tu niema. Zwykle wykwalifikowane pielęgniarki praktykują przez pewien czas w specjalnych szpitalach. Zdobywszy konieczną praktykę, szukają posad w klinikach uniwersyteckich, sanatorjach, zakładach leczniczych, internatach, kolonjach dla dzieci i młodzieży, w szkołach i t.p. Praca ich polega na stosowaniu przepisanych przez lekarza ćwiczeń gimnastycznych i wykonywaniu specjalnego masażu przy leczeniu wszelkiego rodzaju złamań kości i zwichnięć, skrzywień kręgosłupa, paraliżu lokalnego, usztywnień stawów, a także przy chorobach przemiany materji, i w cierpieniach. Do zajęć ortopedystki należy również zaliczyć gimnastykę niemowląt i małych dzieci.

— No, a jak się przedstawia sprawa zarobków?

— Ano źle, jak wszędzie. Praca nasza jest szalenie ciężką i wyczerpującą, a płace wahają się od stu do trzystu złotych, a przecie przy wykonywaniu tego zawodu potrzeba dużo poświęcenia, wyrzeczenia się przyrodzonego każdemu człowiekowi egoizmu, cierpliwości, dużo silnej woli i hartu ducha. Prawda, że zadowolenia moralnego mamy również bardzo dużo.

— Dziękuję ci Hanko za tak wyczerpujące wskazówki — postaram się je zużytkować do artykułu.

— Napisz możliwie zachęcająco — bo przecież to zawód dla kobiety jak stworzony i to z kategorji takich, który zawsze i wszędzie wykonywać można. Bo przecie nawet na terenie własnego domu i przy wychowywaniu dzieci tysiączne oddaje usługi.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Ś. p. Matka Walentyna Lisiecka O. S. U.

Odeszła po nagrodę do Pana w dniu 21 marca b. r. najstarsza Urszulanka na ziemiach polskich — przeżywszy lat 91, z których 67 w klasztorze.

Ś. p. Matka Walentyna wstąpiła do klasztoru w Gnieźnie i jako młoda zakonnica, piastując urząd Przełożonej, wraz z innemi Siostrami musiała opuścić zabór pruski po dziewięciu latach pobytu w Gnieźnie. Klasztor stał się bowiem ośrodkiem katolicyzmu i polskości, to też Bismarck wydał rozkaz wysiedlenia Sióstr, zakmknięcia świetnie, jak na one czasy, postawionej szkoły. — Gościnnie przyjęte przez Episkopat i społeczeństwo Siostry, rozpoczęły pracę nauczycielską w Tarnowie.

Całą swą młodość ś. p. Matka Walentyna spędziła na katedrze profesorskiej i w salach pensjonatu — Głęboka znajomość dusz, serce macierzyńskie i iście męski hart woli, duch i umysł zawsze młody sprawiły, że młodzież znajdowała w swej światłej wychowawczyni walory, które ją pociągały i jednoczyły na zawsze z tą nieprzeciętną Urszulanką.

Ś. p. Matka Walentyna przez szereg lat piastowała urząd Przełożonej i gorliwie zabiegała o rozwój dzieła apostolskiego. — Wojna wszechświatowa zastaje ją na tym odpowiedzialnym urzędzie. — Wtedy roztworzona furta klasztorna przygarnia setki rannych, a Siostry z polecenia swej Przełożonej z całem poświęceniem spełniają zadanie samarytańskie.

Patrjotka gorąca przeżywa odzyskanie niepodległości. Usunęła się wówczas do folwarku, aby w najcięższych latach powojennych, zarządzając tą placówką rolną, dopomagać Zakładowi w Tarnowie w aprowizacji.

Na tej placówce staje się dla ludzi prawdziwie matką. Garną się do Niej starzy i młodzi po rady i wskazówki w licznych kłopotach.

Sprawy bieżące Kościoła, państwa i społeczeństwa żywo ją zajmują. — Pisząca te słowa dwa dni przed śmiercią odwiedziła sędziwą, schorzałą Staruszkę, — usłyszała wtedy od Niej znamienne słowa o doniosłości redagowania pisma dla młodzieży. Zatem o Was młodych myślała ta Matka-



Wychowawczyni i za Wami pewnie dziś wstawia się w to pierwsze święto Zmartwychwstania u tronu Bożego...

Jakby patrjarcha rodu duchowego Urszulanek, odchodząc z tej ziemi, błogosławiła rzeszom młodzieży w Zakładach urszulańskich wychowanej i zgórą 500 Zakonnicom, które za Jej życia wstąpiły do klasztoru. Z Jej wiedzą, a czasem dzięki Jej decyzji jako Doradczyni lub Prokuratorki Generalnej, powstały kolejno w ciągu Jej życia 22 domy Urszulańskie, mieszczące dziś 27 szkół, kształcących blisko 5.000 uczenic.

Wierna Córka Kościoła dostąpiła tej wielkiej łaski, że na kilkanaście minut przed śmiercią udzielił arcypasterskiego błogosławieństwa J.E. Ks. Biskup Lisowski Ordynarjusz Tarnowski. W oczekiwaniu dostojnego gościa powiedziała Siostrom: »Skoro już tu na ziemi czeka Ją taki zaszczyt i łaska, nie wie czy w niebie przygotuje Jej Pan Jezus jeszcze jakąś nagrodę«.

Z upragnieniem oczekiwała śmierci, powtarzając często słowa: »niczego już więcej nie pragnę, tylko Boga i wieczności«.

Eksportacja zwłok z Koszyc do Tarnowa była prawdziwą manifestacją uczuć wdzięcznego ludu, który tłumnie odprowadził swą kochaną Matkę do kaplicy klasztornej — Tu zebrane Siostry zakonne oczekiwały ostatnich odwiedzin Tej, która prawie wszystkie przyjmowała do Zakonu i tyle lat była im Matką i Przełożoną.

J. E. Ks. Biskup w asyście duchowieństwa miejscowego odprawił ostatnią Mszę św. w kaplicy klasztornej Jej staraniem wzniesionej. Na pogrzeb przybyła jedyna z bliższej rodziny siostrzenica, a w licznym gronie byłych wychowanek Matki przybyła z daleka pierwsza pensjonarka. Gdy trumna spoczęła w grobowcu zakonnym na cmentarzu, dzwony oznajmiły Anioł Pański. I popłynął śpiew ku strefom niebieskim w wigilję Zwiastowania, a w sercach obudziła się myśl, że też w tej chwili dusza ś. p. Matki Walentyny nie usłyszała radosnej zapowiedzi od Anioła, że Pan jest z Nią na wieki.

M O J E J   M A T C E

w dowód bezgranicznej miłości.

Matka — ile w tem słowie treści,
najgłębsza nazwa w ludzkiej mowie,
tyle uczucia w niej się mieści,
tyle miłości w jednem słowie.
Tyle miłości wielkiej, świętej,
i poświęcenia ogromnego,
i tyle woli nieugiętej,
by dziecko swe ustrzec od złego.
O ileż cierpień musi przeżyć,
ile wypłakać łez gorących,
by życiu potem skarb powierzyć,
skarb — przedmiot trosk nieustających.

Za wszystkie noce twe bezsenne,
któreś spędziła nad kołyską,
serce oddaję Ci niezmienne
i Ciebie kocham nadewszystko.
Twoją miłość matki los wzywa,
by oszczędziło mi łez życie,
żebym prawdziwie była szczęśliwa...
Wiem, że się o to modlisz skrycie.
Wiem, że Ty broniąc mnie od złego,
gotowaś walczyć z świata złością,
Więc co mam w duszy najlepszego,
Tobie oddaję wraz z miłością.

Krystyna Korewicka.

Szary Dom na Wybrzeżu Kościuszkowskiem.

(Reportaż z Akademji Szt. Pięknych.)

Mało ludzi słyszało cośkolwiek o Warszawskiej Akademji Szt. Pięknych, która wywalczywszy sobie w ostatnich latach stanowisko między wyższemi uczelniami, skupiła na swych katedrach najzdolniejszych malarzy, oraz wykładowców jak: T. Pruszkowski, F. Kowarski, Kotarbiński, Walicki, Czajkowski, Jastrzębski...

Kiedy po raz pierwszy uchyliłam ciężkie drzwi Szarego Domu (jest to moje osobiste określenie Akademji), wiedziałam o nim tyle samo, co wszyscy inni śmiertelnicy. Znałam go poprostu ze słyszenia, a ściśle mówiąc, z prospektu. Wytęskniłam go sobie i wymarzyłam, nie zdając sobie jednocześnie sprawy z wewnętrznego życia, oraz organizacji nowej uczelni. Wzruszenie, jako nieodstępny towarzysz nowicjuszy, tamowało mi tok myślenia i zlewało spostrzeżenia w jedną oszałamiającą całość.

Szare ściany, poznaczone bliznami kul i ogromny napis, skomponowany z metalu: »A. S. P«.

Gdyby ktoś zapytał potem o »pierwsze wrażenia«, mogłabym jeszcze z biedą dodać słów parę na temat okrągłego »hallu«, skrzypiących schodów i...

Tak trudno było myśleć, zastanawiać się i spostrzegać. Dopiero po kilku miesiącach pracy zdołałam sobie uplastycznić niektóre rzeczy z objektywnego punktu widzenia.

Sądzę, że pewne wyjaśnienia co do egzaminu wstępnego, mogą się przydać zainteresowanym koleżankom i dlatego powracam myślą do swoich pierwszych kroków na terenie Akademji.

Załatwiwszy formalności związane z podaniem, znalazłam się na uroczystem dopuszczeniu do egzaminu przez Radę Pedagogiczną, z p. Rektorem Pruszkowskim na czele.

Wyrok odmowny lub przychylny, zapadał na podstawie prac, złożonych przez kandydata. Później nastąpił egzamin konkursowy, trwający przez 7 dni po 4 godz. dziennie. Boże Drogi! Każdy ze drżeniem ściskał węgiel w garści i kątem oka rzucał na sąsiada, żeby wywnioskować, czy wogóle warto zaczynać. Okazało się jednak, że warto, a zresztą nie było innego wyjścia.

Rysowaliśmy akt z natury, a później pamięciowe szkice, na określone tematy. Do tych ostatnich przywiązywano najmniejszą wagę. Przychylna decyzja zależała przedewszystkiem od trafnego przestudjowania ciała ludzkiego. To byłoby już wszystko, jeżeli chodzi o sam egzamin.

Lista studentów, przyjętych do Akademji (w tym roku wyjątkowo dużo, bo 50%), została wywieszona w owym »hallu«, który pierwszy zwrócił moją uwagę. Nietylko bowiem jest okrągły, przez co uzyskuje ciekawszą formę, oraz większą możliwość sharmonizowania się z dalszemi etapami lokalu, ale gromadzi w sobie najistotniejsze punkty koncentracyjne, prawdziwy »malarski rwetes«.

Tu bowiem toczą się wszystkie koleżeńskie dysputy na temat sztuki, tu młodzi adepci targują się brutalnie o blejtramy (ramy, na które naciąga się płótno), a sekretarjat wywiesza swoje obwieszczenia. W jednym rogu przedsionka, poprzedzającego »hall«, mieści się sklepik z przeróżnemi przyborami koniecznemi do studjów, a w drugim — wejście do kancelarji Bratniej Pomocy. Jednem słowem »hall« jest nietylko miejscem, na którem krzyżują się wszystkie »drogi handlowe«, ale jednocześnie targowiskiem przekonań osobistych.

Wpadłszy raz na problem lokalu, proponuję małą »przechadzkę turystyczną« po naszej uczelni. Na parterze mieści się aula, przeznaczona wyłącznie do wykładów teoretycznych (hist. sztuki, kreślenia i t. d.), kilka pracowni graficznych, oraz dział rzeźbiarski. Pierwsze piętro należy wyłącznie do malarzy i dzieli się na pracownie, kierowane przez poszczególnych profesorów, a na drugiem znajdują się sale, gdzie praca oparta jest na t. zw. »specjalizacji«: Kilimiarstwo, projektowanie wnętrz, grafika użytkowa (miedzioryty, drzeworyty), dekoratorstwo ścienne... Tyle działów, a miejsca tak mało! Ciasnota wszędzie daje się we znaki. Na dole są jeszcze sutereny, ale i te wyzyskano do ostatnich możliwości. Od długiego

korytarza na prawo i na lewo, rozsypują się pracownie innego rodzaju. Praca w nich wymaga nietylko wybitnej pomysłowości, ale nawet siły fizycznej. Mijając szeregi białych drzwi, czytamy po drodze tabliczki: metal, modelowanie, ceramika, stolarka, pracownia farbiarska. Najniespodziewaniej uderzają w nasze nozdrza jakieś zapachy kulinarne. Nic dziwnego, bo właśnie dotarliśmy do jadłodajni. Przy okienku czuwają już koledzy, z utkwionemi nieruchomo oczami w kucharkę, która drżącą z pośpiechu ręką, rozlewa na talerze zupę. Tutaj codzień jadam (pracujemy codzień od 9 godz. rano do 5. g. popoł. bez przerwy obiadowej) i może właśnie na wspomnienie tych tragicznych, siedemdziesięcio - groszowych obiadów (bez deseru!), dostaję lekkich dreszczy. Cóż zrobić, kiedy człowiek jest głodny? — pytam pocichu swych wymagań artystycznych i nie doczekawszy się odpowiedzi, proszę... o kotlet wieprzowy.

»Chodźmy znowu do hallu«.

Jest teraz przerwa. Koleżanki i koledzy zbiegają szybko po schodach, wszyscy ubrani w kolorowe fartuchy, upaćkane farbą, lub gliną. Charakterystyczny i bardzo malowniczy widok! Wśród tego kalejdoskopicznego tłumu można zauważyć różnorodne typy. Naogół zaznacza się przewaga mężczyzn i duży procent żydów.

Na ławkach porozsiadały się kolorowym zagonem modele, odpoczywające po godzinnem pozowaniu, albo czekające na zatrudnienie. Przygnała ich tutaj ostatnia nędza. Są jednak i tacy, którzy tak zżyli się ze swoim zawodem, że bez niego nie potrafiliby już istnieć. Nadają oni Akademji specyficzny charakter, indywidualny styl, którego nie posiadają inne uczelnie.

Co do mnie, wolę nie patrzeć na ich zbiedowane twarze i smutne oczy...

Krysia Szczepkowska.

TYGRYS I JEGO LEGENDA.

Kraje egzotyczne, leżące w strefie równikowej, są jeszcze do dzisiaj rajem dla myśliwych. Wprawdzie zarządy kolonji ograniczają prawa polowania na grubego zwierza, celem jego ochrony tworząc rozlegle rezerwaty, gdzie wogóle przebywanie z bronią palną jest wzbronione, wyjąwszy straż pilnującą rezerwatów. Wysokie opłaty dla żądnych wrażeń myśliwych, nie pozwalają na hurtowne wywożenie trofeów. W szczęśliwszem położeniu znajdują się wyżsi urzędnicy kolonjalni, którzy będąc stale na miejscu, mają nieraz sposobność uśmiercenia lwa lub tygrysa, gdy lament na »ONG COP« jest zbyt wielki, co zmusza władze do wkroczenia i poskromienia zuchwałego drapieżnika. »ONG-COP« jest dziwną nazwą, raczej przydomkiem jaki dają tygrysowi mieszkańcy Annamu (Indochiny francuskie), dziwnym, ponieważ świadczy o nadzwyczajnym respekcie, pochodzącym z ogromnego przed nim strachu. »ONG-COP« znaczy w tamtejszem narzeczu »Pan Tygrys« a nawet więcej, bo »Jaśnie Oświecony Pan Tygrys«. Trzeba słyszeć krajowców z Tonkinu lub Annamu, wymawiających te słowa. Jest w ich intonacji gardłowej pewien odcień uczucia, jakby chęć wywołania groźnego zwierza, który niejednokrotnie zaskoczył podróżnych bez broni na odludnych stepach. Krajowcy wiedzą co oznacza takie spotkanie. Jeżeli tygrys zaatakuje człowieka, jest to walka na śmierć i życie i jeden z walczących musi ulec. Krajowcy wiedzą również, że gdy tygrys już raz zakosztował ludzkiego mięsa, nie wypuści ze swoich pazurów zdobyczy tak łatwo, wiedząc, że ciało ludzkie dostarczy mu smakowitego pożywienia. Od tego czasu czatuje przy ścieżkach, czekając cierpliwie na nieostrożnych, a zbyt śmiałych podróżnych. W okolicach pozbawionych zwierzyny, takich tygrysów nazywają »zjadaczani ludzi«. Natomiast tam, gdzie obfitość dzikiej zwierzyny pozwala na zaspokojenie głodu króla dżungli, tygrys nie poluje na ludzi, schodząc im zawsze z drogi. Wybielone przez słońce szkielety zwierząt, leżące na stepach, mówią przechodniom o swoim tragicznym końcu. Tygrys

nie cieszy się u Anamitów dobrą opinją, czują wprawdzie przed nim respekt, lecz w popularnych opowiadaniach wyśmiewają się z jego tchórzostwa i głupoty. Jest on w ich mniemaniu igraszką innych zwierząt, które kpią sobie z niego. Mieszkańcy Annamu przywiązują jakąś ślepą wiarę do znaczenia wartości n. p. wąsów tygrysa, które mogą pomścić wszelką krzywdę i zniewagę. Krają te wąsy na drobne kawałki i rzucają do pokarmów tych, których mają zamiar się pozbyć. Włosy te bowiem mają posiadać własność przedziurawiania wnętrzności, bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. Popiół ze spalonych wąsów tygrysa, ma chronić myśliwych od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Europejczycy robią z pazurów tygrysa porte-bonheur, a wielbiciele hartu, siły i zwinności, zwykli mówić o człowieku lekceważącym niebezpieczeństwo: »Oto ten co zjadł tygrysa«.

Przełożył z francuskiego
Henryk Nidjol

TURNIEJ MARYNISTYCZNY.

Dnia 8 grudnia 1935 r. wielką recepcyjną salę K. U. L. zamieniliśmy na roziskrzone pole gwiazd — I na tej kosmicznej łące kąpaliśmy się w rymie, szukając i oglądając się za drogocennemi meteorami myślą, duchem i pięknem.

Ożyła wtedy smętna jesień, z za granatowych lasów odzywały się mroźne wycia wichrów — szła zima — A my wyszliśmy naprzeciw z barwnemi chorągwiami, z muzyką, z rytmem.

Przyszedł potem dzień 9 marca. Już wyzwolone rzeki Polski szumiały radosną nadzieją wiosny, a my znów pierwsi, znów wyszliśmy naprzeciw ze szkarłatnemi sztandarami, ze słońcem i w słońce.

Bronimy się wściekle i z niesłabnącą siłą młodych. Nie chcemy być szarzy, rozłożeni na dwie łopatki, my chcemy być tęczowi.

Głosimy nowe hasło: frontem do jasnego człowieka! Bronimy się wściekle i z niezachwianą wiarą zwycięstwa, bo poruszamy struny, często zapomniane, a jedynie coś warte, jedynie twórcze: Kalikujemy na dostojnych organach ducha.

Dnia 9 marca zaśpiewaliśmy o morzu. Setki kilometrów od nas, na chmurnej północy, huczy i woła, grozi i pociąga woda bezbrzeżna. Odwieczny władca i tyran dobrotliwy i tęsknota bezmierna i moc ogromna. Ni go pojąć, ni poznać, tylko tęsknić i kochać go wolno.

Morze ogromne z księżycem spiskuje i granic niema.

I tu jest tajemnica i sekret, dlaczego ten ogrom i bezmiar musi ukochać każde młode, szamocące się, a gorące serce.

Każde oczy, patrzące jak tylko mogą najdalej, najwyżej i najgłębiej, więcej niż mogą, aż się załzawią.

I tu jest tajemnica i rozgrzeszenie, że my szczury lądowe, porwaliśmy się zaśpiewać nieśmiele, lecz z ukochaniem i tęsknotą wielką o tem morzu najmilszem.

Zaczarowało nas swem bezgraniczem i pochwaliliśmy go równie potężnym akordem jak ono samo:

Słowem polskiem. —

Lipczyński Krzysztof K. U. L.

Impreza szkolna.

Dnia 27 marca 1936 r. o godz. 13 odbyła się w Gimnazjum S. S. Urszulanek w Lublinie audycja — koncert w wykonaniu chóru Gimnazjum pod kierownictwem P. Prof. Janiny Łosakiewiczowej.

Nieprzeciętna ta impreza szkolna zasługuje ze wszech miar na wyróżnienie. Dobrze prezentujący się chór uczennic, wykonał dziesięć pieśni w zupełnie poprawnej interpretacji, utrzymujęc się przez cały czas

audycji na jednakowo wysokim poziomie. Godzi się podkreślić takie walory zespołu śpiewaczego, jak: wyrazistą dykcję, subtelną dynamikę, właściwe tempo piosenek, zupełne niemal wyrównanie głosów — walory w chórach szkolnych nie często spotykane. Jakkolwiek program wypełnił wyłącznie chór, mimo to audycja na atrakcyjności swej nic nie straciła. Zręcznie ułożony program z pieśni ludowych i artystycznych, trzymał audytorjum — Grono nauczycielskie i uczenice Gimnazjum w napięciu. Darzono też wykonawczynie rzęsistemi i rzetelnie zasłużonemi oklaskami.

Na szczególne wyróżnienie zasługują pieśni: Maszyńskiego: »Wesele«, Moniuszki: »Prząśniczka«, Rybickiego: »Serenada«.

Nie zaszkodziłaby tego rodzaju imprezie odpowiednia wstępna pogadanka, ewentualnie krótkie objaśnienia do wykonywanych pieśni.

Kierowniczce chóru, Pani Prof. J. Łosakiewiczowej należy się pełne uznanie za fachową i skuteczną pracę. *J. Ch.*

NATCHNIONE PROCHY.

Na granitowej mocy fundamencie,
gmach stał potężny Rzeczypospolitej,
granice legły od morza do morza,
w zbytku opływał kraj cały,
Hej, wiek szczęśliwy, wiek złoty!
Hej! —
Ale bogactwo pierwszym jest zwiastunem
grożącej klęski.
Nie zważano na to:
— Póki do życia jest dzisiaj ochota,
co nam po jutrze!
Ani martwiła kogo przyszłość mroczna:
— Aby dziś hucznie! —
Pośród rozgwaru, zbytków, a uciechy,
głos natchnionego rozebrzmiał proroka:
— Czas do pokuty!
On dzień dzisiejszy widział wespół z lu-
[dem,
myślał o jutrze.
— A to Ojczyzna wszystko wam nadała,
dbacie o siebie.
A to prywata, niezgody, roztyrki,
złości i grzechy, sekciarska zaraza,
prawa niesłusznego, władzej osłabienie,
sześć chorób ciężkich Rzeczypospolitej.
Jakże tej matki najmilszej nie kochać,
co wszystko dała?
Bóg ci, człowiecze, matkę czcić rozkazał:
miłuj Ojczyznę!
Echem rozebrzmiał głos Skargi karzący,
tą jaśniejącą był on błyskawicą,
co z Bożej dłoni na ziemię ciśnięta,
rozbłysła w mrokach, ukazując drogę.
Im on pełniejsze miał serce pokory,
tem wyżej wzlatał nad braćmi.
Im płomienniejszą rozpłonął miłością,
tem jaśniej świecił.
Potężną widział najmilszą Ojczyznę,
ale czuł sercem godzinę upadku
i chciał uchronić.
By sam mógł piersią swoją miłującą,
toby zasłonił Ojczyznę kochaną.
Miłością swoją cały rozpalony,
jej siłą spłonął,
ale zostały nam po nim popioły —
— nie wszystek umarł!
Jeszcze nam jednak starczy tych popiołów,
by jak relikwię wziąć z nich proch do
[serca —
— serce zabije jego świętym żarem,
pójdziemy w przyszłość świetlaną Ojczyzny!

Wiesław Pyrek.

OD REDAKCJI:

Wiersz ten może być zadeklamowany przy akompaniamencie fortepianu jako meodeklamacja. Może odpowiedniem będzie prepreludjum Paderewskiego. — Niewątpliwie, w niniejszej szkole będą urządzane akademje jako w czterechsetną rocznicę ku czci Kapłana-Patrjoty, ks. Piotra Skargi. — Oto spis wydawnictw, które dotychczas ukazały się w druku:

1) Kordlewicz: „Proroctwa ks. Skargi (fragment na role mieszane). Cena 60 gr. wyd. w r. 1913.

2) S. Alicja: „Prorok narodowy". Wydawnictwo XX. Pallotynów, r. 1936.

3) Ks. Teofil Bzowski T. J.: „Skargowskie pokłosie".

BAROMETR W ŻYCIU WEWNĘTRZNEM

(Wolny przekład z autora „Złotych ziarnek").

W fizyce barometr jest przyrządem, wskazującym zmiany przyrody i służącym do mierzenia ciśnienia powietrza. — W życiu wewnętrznem barometru nie posiadamy, ale różne stany powietrza, wskazywane barometrem, odpowiadają wybornie różnym stanom naszej duszy.

I tak: 1. **zmienne powietrze** to usposobienie niestałe, któremu brak wytrwałości, zaczyna dużo prac, ma wiele planów i szczytnych nieraz ideałów, lecz nie wprowadza ich w czyn po większej części.

2. **Mały deszcz** przedstawia łzy, spowodowane marzycielstwem, podrażnioną miłością własną, wskazuje na brak siły woli i energji do pracy.

3. **Wielki deszcz** to objaw, występujący częściej u dzieci, a rzadziej u młodzieży i starszych. U malców wywcłują ten stan drobiazgi — n. p. odmówiony cukierek, przyjemność, zabawa. U starszych wywołuje go boleść prawdziwa, n. p. strata kogoś bliskiego, rozłąka, choroby ukochanych osób, współczucie dla cudzego nieszczęścia. Dla takich łez ma się szacunek.

4. **Chmury** to dąsy, wywołane przez podrażnienie miłości własnej, zacinanie się nawet wobec najbliższych, najczęściej spowodu błahych przyczyn, n. p. gdy krawcowa zawiodła, lub obiad nie przypadł do gustu i t. p.

5. **Burza** nagła lub daleka to stan, wywołany przyczynami wewnętrznemi lub zewnętrznemi. W pierwszym wypadku wzburzenie może być bardzo niebezpieczne i grozić zatonięciem, gdy brak steru wiary.

6. **Susza** to najwstrętniejszy egoizm, zazasklepiania się w sobie, brak dobroci, serdeczności, ducha poświęcenia i ofiary dla drugich.

7. **Piękna pogoda** — to pokój sumienia szczególnie po spowiedzi i Komunji św., to spełnienie nieraz trudnego obowiązku, przełamywanie złych skłonności, ofiara i poświęcenie.

Stan naszej duszy zmienny, jak ciśnienie atmosferyczne — nie zawsze może być piękna pogoda, ale zawsze serce może być pełne miłości i dobroci, a dusza pełna Bożego pokoju.

Przebudzenie.

Oto zadrżały dzwonów ciche serca,
kładąc się lekko pośród łąk kobierca,
echa swe niosąc kędyś wdal i wzwyż,
od Jeruzalem po Golgoty krzyż!
Na osmęt smutnej i zbolałej duszy,
którą cierpienie, jako ten chwast głuszy.

Oto rozgrały się dzwony dzwoniące:
Pan powstał z grobu, by odkupić świat!
obudzić słowem moce ziemi śpiące,
przybrać świat w zieleń i ustroić w kwiat
i Duszy, która bledła z braku cienia
wskazać krainę SWEGO ODKUPIENIA!

Michał Szymański.

OD REDAKCJI:

Numer kwietniowy opóźnił się z powodu feryj świątecznych i niezależnych od Redakcji przeszkód.

Redakcja prosi swych Czytelników o wyrozumienie zwłoki.

Rekord w prostocie urządzenia pocztowego.

(wolny przekład z francuskiego L'Agriculture Nouvelle Paris. Nr. 1759.)

Nie wiecie może, że w Australji, która jest największą wyspą, a równocześnie najmniejszym lądem stałym (kontynentem) naszej planety, jest 6 miljonów mieszkańców na 7 miljonów kilometrów kwadratowych. Większość ludności jest osiadła na wybrzeżach, a na całym niezmierzonym obszarze wewnętrznym, jest rozproszonych zaledwie kilkadziesiąt farm, zajmujących się przeważnie hodowlą owiec, dostarczających wełny. W tych zapadłych kątach, jeden urząd pocztowy przypada na obszar 500 km. kw., a ponieważ koloniści australscy są ludźmi cywilizowanymi, analfabetów wśród nich prawie że się nie spotyka. Wyjątek jednak stanowią tamtejsi pierwotni mieszkańcy, stojący na najniższym stopniu kultury wśród ludów świata. Osadnicy-farmerzy, mieszkający wśród tych dalekich i mało uczęszczanych okolic, sprytnie się urządzają chcąc korespondować lub otrzymywać gazety, może z przed tygodnia lub więcej, ale zawsze niosące wieści z dalekiego świata. Sposób odbierania poczty na tych odludziach może dlatego ma rację bytu, że tamtejsi mieszkańcy mają chwalebny zwyczaj szanowania cudzej własności. Przy drodze, nawet dość odległej od farmy, a uczęszczanej przez ambulans pocztowy, na dwóch słupach wbitych w ziemię, jest zawieszona drewniana skrzynka z daszkiem i otworem na listy — gazety. Nazwy miejscowości i właściciela względnie mieszkańców osiedla, są wypisane na tablicy. Poczta w przejeździe zabiera przygotowane przesyłki, pozostawiając korespondencję dla danej miejscowości.

Henryk Nidjol.

Łamigłówka lotnicza.



Zamiast cyfr postaw litery tak, aby otrzymać czytając poziomo, wyrazy o następującem znaczeniu:

1. motor w samolocie,
2. instrument muzyczny najczęściej używany w wojsku,
3. materjał niepalny,
4. coś ciężkiego,
5. rama drewniana używana w zaprzęgu z wołów,
6. jedna z niezbędnych części urządzenia radjowego.

Początkowe litery wyrazów, czytane od góry do dołu dadzą wyraz, oznaczający miejsce, gdzie zatrzymują się samoloty lub pociągi.

A teraz, kiedy macie zamiast cyfr litery, łatwo odczytacie nastepujący napis:

1, 2. 3, 4, 5 — 3, 6, 7, 4, 2, 8, 7, 9, 6 — 7, 6, — 1, 2, 3, 4, 5 — 10, 11, 21, 1, 7, 9, 6.

Zwracam Wam uwagę, że cyfry 9, 10, 21, oznaczają litery, które nie były użyte w pierwszej części zadania.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

M. S. S. Rysunki bardzo nam odpowiadają — proszę dawać do ilustrowania artykuły nadające się do tego. Ponadto prosimy uprzejmie o adres rysowniczki.

W. P. ze Stanisławowa. Za list dziękujemy. Prosimy o opisy wycieczek z fotografjami. Wiersze czekają kolejki, bo byłoby ich za dużo.

Jagienka z pod Lublina. Na tematy poruszone w ostatnim liście trudno mi na łamach pisma odpowiadać, ale może zechce to Pani przedyskutować z naszą korespondentką w Lublinie na ulicy Narutowicza 8 — 10 — podpisuje się ona »I. S.«

»Legenda« pójdzie w maju, bo bardzo ładna, ale brak mi zdjęć fotograficznych omawianych szczytów. Czy mogę o to prosić? Wiersze o miastach czekają kolejki.

P. Wiesław P. w Warszawie. Wiersz i artykuł o Skardze posyłam wprost do Gdyni, jako materjał nadający się na znany cel.

H. Platta K. U. L. Wiersz z nad morza umieścimy w swoim czasie. — Prosimy o trochę cierpliwości.

S. Hilarja, Kołomyja. Czy wszystkie fotografje doszły już do właścicielek? »Sprawa polska«... choć z zacięciem pisana, ale temat może zbyt śmiały i charakter całej pracy zanadto zbliżony do referatu, a nie do artykułu.

Prosimy bardzo o dalszą współpracę Profesorki i uczenic.

RECENZJE.

Dr. Karpowiczówna W. „Paproć". Wyd. św. Wojciecha. Bibljoteczka przyrodnicza. Książeczka ta stanowi dobry nabytek do lektury uzupełniającej dla uczniów na II gim. Morfologja paproci w związku z jej biologją, paprotniki kopalne i — rzecz bardzo cenna wobec dzisiejszych programów — krótkie wskazówki do hodowli paproci z zarodników. — Oto treść tej monografji; trzeba przytem zaznaczyć, że książeczka pisana jest łatwo i posiada układ przejrzysty.

M. Ch.

TREŚĆ Nr-u 8-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji: Kraków, ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.